

V. WSPOMNIENIA HISTORYKÓW PRAWA¹

Wspomnienia Profesora Adama Lityńskiego

Jak głosi anegdota, Napoleon, gdy miał obsadzić jakieś ważne stanowisko w strukturach wojskowych albo ważny odcinek frontu, mówił i pytał: „Tak, wiem, przedstawiany kandydat jest wykształcony w najlepszych szkołach wojskowych, ma ogromne doświadczenie wojskowe, ale wy mi powiedzcie coś innego – czy on ma szczęście?”

Miałem wiele szczęścia w życiu. Najpierw miałem to szczęście, że się w ogóle urodziłem. Obie rodziny, matki i ojca, korzeniami swoimi pochodzą ze Lwowa i Kresów Wschodnich. Ojciec w 1939 r. był naczelnikiem sądu w Jaworowie. Tam zastał ich (i mnie jako nasciturusa) 1 września, a potem 17 września 1939. Ojciec w wojsku nie służył (był ciężko poszkodowanym inwalidą), toteż nie znalazł się ani wśród poległych, ani w żadnym obozie jeńckim, ale jako sędzia znalazł się od pierwszego dnia wejścia Sowiec „na pierwszej linii walki klasowej”. Miałem jednak rodziców wielce przezornych i świetnie rozumiejących niebezpieczeństwo komunistycznego ludobójstwa w stalinowskim wydaniu. To było moje pierwsze wielkie szczęście.

Jeszcze przed moim urodzeniem funkcjonariusze NKWD przybywali z zaproszeniem od Józefa Wissarionowicza, by rodziców zabrać na wycieczkę na białe niedźwiedzie (a może do apartamentu na Łubiance?), ale nikogo nie zastawali. To było kolejne wielkie szczęście. 75 lat temu – 2 stycznia 1940 roku – we Lwowie, to nie był dobry czas na rodzenie dzieci, to nie był w ogóle dobry czas. Toteż moi rodzice – z dwojga złego – woleli zbiec (każde inną drogą i w innym czasie) z niemowlęciem Adamem na teren tzw. Generalnej Guberni. Przebywając kolejno w Warszawie, Krakowie, wreszcie w Pcimiu, doczekali ponownego wkroczenia wojsk radzieckich, by potem znowu przez Kraków przybyć do Katowic. I tu osiedli. Szeroko rozumiana rodzina też rozsyłała się po Górnym i Dolnym Śląsku, z preferencją dla Wrocławia. Zdarza mi się żartować, że jestem Ślązakiem ze Lwowa.

¹ Wspomnieniami Profesora Adama Lityńskiego redakcja otwiera nowy dział Czasopisma Prawno-Historycznego. Mamy nadzieję, że będzie on systematycznie poszerzany o kolejne teksty.

Jakoś udało mi się szczęśliwie ukończyć szkoły, z podstawowej wszak nikogo nie wyrzucali, bo była obowiązkowa. Chodziłem do podstawówki w Katowicach na „forsztacie” (przedmieściu), jak to wówczas nazywaliśmy; była tam zbieranina „chacharów” i właśnie wśród nich czułem się bardzo dobrze, znalazłem swoje miejsce, a wspomnienia z tej szkoły do dzisiaj mam jako najmiłsze z całego długiego okresu moich nauk. Dalsze nauki pobierałem w Liceum im. Mickiewicza w Katowicach. Na zajęcia wychowania fizycznego prowadzono nas często na pobliskie boisko klubu sportowego „Kolejarz” Katowice, a sąsiedowało z nim przez płot boisko „Górnika” Katowice. Później, na boisku „Kolejarza”, wybudowano ładny budynek szkolny, ale zanim zasiedliła go szkoła, oddano dla tworzącego się Studium UJ, a po rozbudowie i unowocześnieniu do dzisiaj mieści się tam rektorat Uniwersytetu Śląskiego. Liceum im. Mickiewicza w Katowicach (od 1953 w Stalinogrodzie) było uważane wówczas za najlepszą szkołę średnią w województwie. Dużo się tam nauczyłem. Z nauk ścisłych byłem lepszy i niemal do ostatniej chwili zamierzałem podjąć studia na modnej wówczas politechnice, a decyzja co do prawa przysłała niemal w ostatniej chwili, zadecydowały tradycje rodzinne: oboje rodzice byli prawnikami, a w rodzinie ojca było nawet już drugie pokolenie prawników. Pojechałem studiować prawo do grodu nad Odrą, bo tam ulokowała się część rodziny z Kresów i tam miałem zamieszkać u ciotki pod jej czujnym okiem. Ciotka właśnie wróciła bez męża z robót, gdzieś przy chińskiej granicy, tam okresowo budowała radziecki komunizm wspólnie z rodziną Jaruzelskich, tam poznała m.in. nikomu nieznanego Wojciecha Jaruzelskiego.

Studia rozpocząłem w 1957 roku, mając lat siedemnaście, w mieście, które było wielkim tygłem kultur, pochodzenia ludzi, ale na moich oczach właśnie się stapiało i powoli zaczęło tworzyć społeczeństwo Dolnego Śląska, traktujące tę ziemię jako swoją; dopiero wówczas ruszyła odbudowa potwornych zniszczeń „Festung Breslau”. Dostrzegałem to dobrze i sprawiało mi moją prywatną satysfakcję, wszak to wszystko byli ludzie bardzo boleśnie doświadczeni przez wojnę. Dopiero wówczas powoli przychodziło przekonanie, że tak już zostanie, m.in. że będą to jednak ziemie do Polski należące, że nikt nam ich nie zabierze; wcześniej, przed 1956 r., ludzie na ogół „siedzieli na walizkach”.

Jeśli chodzi o szersze obserwacje dotyczące studiów i przede wszystkim wielkich profesorów (głównie lwowskich, także wileńskich), to powiem, że z perspektywy 17/21-letniego samotnego studenta nie za wiele było widać. Owszem, wiedziało się, że dany profesor ma duży autorytet, że to dużej rangi uczony, o innym, że w okresie stalinowskim był usunięty z Uniwersytetu i właśnie pozwolono mu wrócić i wykładać, ale w jego zakładzie (katedrze) miał „anioła stróża”. Takie wieści jakoś tam do uszu studenta docierały, ale w sumie były jakby odległe, niepewne, dość abstrakcyjne. Student spotykał się – z wyjątkiem seminarium magisterskiego – nie tyle z uczonym, co z na-

uczycielem. To jednak coś innego: wielki uczony mógł na zajęciach nudzić okropnie, a mizerny naukowiec mógł nauczać ciekawie. Wielkość naukowa nie musi się przekładać na znakomitość nauczycielską, chociaż powinna. Pewnym dopełnieniem tej sprawy, z punktu widzenia ówczesnego studenta, był problem dostępności stosownych podręczników. Przypominam, że rozpocząłem studia w rok po październikowym 1956 r. przełomie politycznym i z podręcznikami bywał duży kłopot. Dla studenta była więc kwestia, na ile wykład jest potrzebny, aby zdać egzamin. Posługiwaliśmy się często odbitymi w latach 1945-1946 na nędznych powielaczach skryptami profesorów, używanymi wielokrotnie, zaczytywanymi do skrajności, a kosztującymi „na giełdzie” duże sumy pieniędzy. Ja bez rozeznania, natychmiast po przyjęciu na studia, kupiłem w księgarni podręcznik Andrejewa, Lernella i Sawickiego, *Prawo karne Polski Ludowej* (wyd. 1954). W treści to koszmar niebywały. Zachowałem ten podręcznik do dnia dzisiejszego, a znacznie później używany był przeze mnie i w dydaktyce, i w pracy naukowej jako skrajny przykład stalinowskiego potworka, z myślą przewodnią o prawie karnym i sądach karnych, mających stać na pierwszej linii walki klasowej. Chciałbym w tym miejscu wspomnieć profesora Witolda Świdę, wileńskiego pochodzenia, i cały jego zespół z Katedry Prawa Karnego materialnego. Wymagania egzaminacyjne postawione były niebotycznie wysoko. Na porządku dziennym były wyniki egzaminów, np. 30:0, tzn. 30 studentów przystępowało do egzaminu i nikt go nie zdawał. Ja zdałem na ocenę bardzo dobrą. Skutki tak wysoko postawionej poprzeczki odczuwałem (pozytywnie!) przez następnych kilkadziesiąt lat, zaś znajomość i rozumienie prawa karnego zaważyły także na późniejszych treściach moich badań naukowych, które wszak w znacznym stopniu – do końca – leżały w płaszczyźnie prawa karnego. Dodam jeszcze, iż po ukończeniu studiów, pracując wówczas etatowo w Sądzie Wojewódzkim we Wrocławiu jako urzędnik sądowy, odbywałem równocześnie – zaocznie – aplikację sądową. M.in. okresowo moim patronem był sędzia SW Jerzy Jaworski, karnista; człowiek wielkiej wiedzy w zakresie prawa karnego i wielkich wymagań. Aplikanci byli przerażeni, gdy trafiło się im dostać pod opiekę tego sędziego, bo był bezlitosny w zakresie wysokości wymagań; nigdy nikt nie otrzymał od Niego oceny wyższej niż dostateczna, a i to było sztuką; opowiadało się, że jedyną w swoim życiu ocenę *dobrą* dał pewnej aplikantce, która już w moich czasach była również sędzią wojewódzkim. Ja dostałem u Niego ocenę bardzo dobrą. A nauczyłem się jeszcze u niego bardzo wiele, zwłaszcza w zakresie umiejętności rozumnego czytania i logicznego interpretowania przepisów; tak zupełnie nie przeminęło to do dzisiaj. Wszystko swoje korzenie miało w wymaganiach profesora Witolda Świdy, ale też trochę profesora szkoły średniej – mgr. Jana Cofalika, który uczył nas logiki, precyzyjnego myślenia. Później z Cofalikiem spotkałem się na Uniwersytecie Śląskim, gdzie pracował na filologii.

W czasie studiów zainteresowałem się historią prawa i marzyła mi się praca naukowa w tej dziedzinie, ale we Wrocławiu mi się nie poszczęściło. Nie było dla mnie miejsca; po prostu tam mnie nie chciano. Tu powiem: na szczęście tam mi się nie poszczęściło. Po czterech latach naiwnego oczekiwania na realizację obietnic zatrudnienia w historii prawa, gdy rozstawałem się – na zawsze – z Uniwersytetem Wrocławskim, głęboko sfrustrowany, zawiedziony, wątpiący w wartości głośno wypowiedane przez uznane autorytety, znalazł się człowiek, który podał mi rękę. Był to pierwszy taki przypadek w mojej pracy zawodowej, a zaważył na całym moim życiu, dlatego chcę tutaj wymienić nazwisko tej osoby. To docent dr Włodzimierz Berutowicz, wykładający postępowanie cywilne i piastujący wówczas stanowisko prezesa Sądu Wojewódzkiego we Wrocławiu (później profesor, m.in. rektor Uniwersytetu Wrocławskiego, minister sprawiedliwości, pierwszy prezes Sądu Najwyższego). Zatrudnił mnie w Sądzie na bardzo dobrym stanowisku urzędniczym, mimo że miał wahania, czy będę traktował posadę w Sądzie stabilnie, czy mu nie ucieknę przy najbliższej okazji na uczelnię. Zapewniłem o mojej lojalności. To był kwiecień albo maj roku 1966. We wrześniu lub może październiku tegoż roku dowiedziałem się o tworzeniu uczelni w Katowicach, moim rodzinnym (od 1945 roku) mieście. Powiedziałem o tym prezesowi/docentowi, oświadczając szczerze, że zachowam się zgodnie z wolą i interesem mojego pracodawcy, jak to obiecałem, i nie odejdę, jeśli On uzna to za niewłaściwe. Gdyby docent Berutowicz wówczas powiedział, że oczekuje takiego zachowania, wyszedłbym z gabinetu i na tym by się skończyło, pewnie zostałbym w przyszłości sędzią, może później np. adwokatem, dzisiaj emerytowanym. Ale Berutowicz powiedział: niech pan zawsze w życiu robi tak, jak panu wskazuje pana interes i nie ogląda się na pracodawcę, bo pracodawca to jest instytucja, a pan ma swoje życie. Nie stawiał przeszkód. Przyszłość pokazała, że była to chyba najważniejsza rozmowa zawodowa w moim życiu. Z Jego strony był to piękny gest. A politycznie dzieliło nas wszystko...

W Katowicach mi się poszczęściło, a ten uśmiech losu objawił się pod postacią profesora Kazimierza Popiołka, ówczesnego prorektora UJ ds. Filii w Katowicach. Przyszedłem do Niego z ulicy; bez żadnych rekomendacji, bez znajomości, czyli bez tzw. pleców, przynosząc jedynie w teczce niezbyt udane teksty moich samotnych poczynąń i prób naukowych. Znowu miałem szczęście, którego istota tkwiła w tym, że profesor Kazimierz Popiołek chciał tworzyć w Katowicach Uniwersytet z ludzi związanych z miastem, a nie dojeżdżających z doskoku z zewnątrz. Kilkanaście lat później profesor Kazimierz Popiołek wspominał: „Niezbyt chętnie decydowali się na osiedlenie w Katowicach pracownicy mieszkający w Krakowie, którzy oczywiście woleli tam pozostać, a do Katowic tylko przyjeżdżać na zajęcia. Przy całym uznaniu dla pracy naukowej, a zwłaszcza dydaktycznej tych pracowników,

pamiętając o roli, jaką w utworzeniu i rozwoju Filii odegrał UJ i niektórzy jego pracownicy, trudno jednak było zgodzić się na dłuższą metę na taki stan rzeczy. Filia musiała posiadać swą stałą kadre, związaną z Katowicami również mieszkaniem”². Późniejsze doświadczenia innych ośrodków, na przykład Filii UW w Białymstoku, albo UMCS w Rzeszowie, potwierdzają, że sedno problemu leży właśnie w materii stabilizacji i związania kadry bezpośrednio z ośrodkiem. Trzeba otwarcie powiedzieć, że niebezpieczeństwo może być tym większe, im bardziej istnieje możliwość pojawienia się – choćby podświadomie – wśród pracowników uczelni macierzystej tendencji do traktowania filii jako miejsca łatwego, dodatkowego zarobku, a także eksportu osób nie sprawdzających się. Z całą ostrością widział problem prorektor UJ ds. Filii w Katowicach prof. dr Kazimierz Popiołek. Z równą też ostrością i skutecznie mu się przeciwstawiał. A kwestia była delikatna, bo prostą drogą mogła prowadzić i nieraz prowadziła do konfliktu z władzami UJ w Krakowie. Sprawa była paradoksalna, bo przecież prorektor UJ ds. Filii stanowił część władz krakowskiej Uczelni i nieraz władzom tym musiał i chciał się przeciwstawiać, w imię dobra katowickiej Filii. Do cytowanej relacji profesora Kazimierza Popiołka, twórcy i konsekwentnego realizatora owej polityki wiązania kadry naukowej z Katowicami, warto chyba dodać, że była jeszcze druga ścieżka stabilizacji kadrowej katowickiej Filii i jednoczesnego cichego uniezależnienia ośrodka katowickiego od Krakowa. O tej drugiej ścieżce profesor K. Popiołek napisać nie chciał, ale już wówczas ją dostrzegałem i z perspektywy lat ją potwierdzam. Była to polityka wyszukiwania i przyciągania do Katowic pracowników z ośrodków uniwersyteckich innych aniżeli Kraków. W owych czasach pierwszoplanową rolę dla Wydziału Prawa i Administracji odegrał przede wszystkim Wrocław, a wkrótce także Poznań, inne ośrodki – w mniejszym stopniu. Odpowiednio trzeba to odnieść także do osób, które przybyły do pracy na Uczelni z praktyki. W pierwszej kolejności przybyli profesorowie i docenci: z Uniwersytetu Wrocławskiego – Karol Gandor, Michał Staszaków, Jan Baszkiewicz, Oktawia Górniok, a nieco później dr Walerian Pańko, który otrzymał tutaj etat docenta, podobnie etat docenta otrzymał Zdzisław Kegel, który później jednak powrócił do Wrocławia; z Uniwersytetu im. A. Mickiewicza przybyli – Leon Chełmicki-Tyszkiewicz i Kazimierz Marszał; z praktyki przyszedli po habilitacjach Antoni Agopszowicz i Kazimierz Korzan.

Nie mam wątpliwości, że zostałem przyjęty do pracy przez profesora Kazimierza Popiołka głównie, a może nawet wyłącznie dlatego, że nie byłem związany z Krakowem. Powiem nawet więcej: zostałem przyjęty wbrew stanowisku kierownika Katedry UJ profesora Adama Vetulaniego, który miał swoją kandydatkę na ten etat (zetknąłem się z nią przelotnie). Na audien-

² Wspomnienia Profesora Kazimierza Popiołka, [w:] „Wyrósł z dobrego drzewa...” *Uniwersytet Śląski 1968-1998. Fakty, dokumenty, relacje*. Praca zbiorowa pod red. A. Barciaka, Katowice 1998, s. 287-288.

cji u profesora Adama Vetulaniego po raz pierwszy zobaczyłem wszystkich docentów. Takiemu magistrowi jak ja docent jawił się już niemal jak szczyt Olimpu, ale przecież szefem krakowskich historyków prawa polskiego był mistrz profesor Adam Vetulani, którego mogłem sobie tylko przedstawiać jako szefa wszystkich szefów. Przesłuchanie mojej przestraszonej osoby prowadził oczywiście Profesor z za biurka, zaś wszyscy inni siedzieli przed Nim. Oprócz Profesora i jego pytań, w pamięci pozostali mi zwłaszcza docenci Stanisław Grodziski i Lesław Pauli, z zupełnie różnych powodów. Grodziski nie odzywał się, co odebrałem pozytywnie jako cichą neutralność, a może nawet przychylność. Zapamiętane wówczas cechy spokoju i życzliwości przez następne pół wieku będą mi się ze Stanisławem szczególnie kojarzyły. Profesor-Mistrz dużo palił i stale częstował, m.in. mnie, papierosami, a ja ówczesnie paliłem 1-2 papierosy na dobę; kiedy jednak próbowałem podziękować za drugiego i następne papierosy, Lesław Pauli (który zawsze palił jednego papierosa za drugim) przywoływał mnie do porządku: „jak to, profesorskiego papierosa pan nie zapali!”; więc stremowany, przestraszony, domyślając się, że Profesorowi tutaj nie wolno odmówić, bo mogłoby to być źle widziane, krztusząc się, paliłem jednego za drugim.

Dzisiaj wydaje mi się, że z wykładami do Filii UJ najpierw przyjeżdżał Ludwik Łysiak, a dopiero nieco później Stanisław Grodziski. Mam niejasne odczucie, że ciche pozytywne porozumienie między Grodziskim a mną nawiązało się w gorące dni marcowych demonstracji studenckich roku 1968; opowiadaliśmy sobie wzajemnie, co się dzieje w Krakowie i w Katowicach, gdzie wystąpienia studenckie były dość duże i żywe; rozumieliśmy się w tych sprawach dobrze. Sądzę zaś, że w Krakowie zrazu podejrzewano mnie o sympatie prokomunistyczne (mimo że wiadomo było, iż nigdy do PZPR nie należałem), wszak pracowałem w Sądzie u bardzo partyjnego prezesa, a potem prorektor Popiołek uzyskał we władzach wojewódzkich potwierdzenie dla mojej osoby, a nie kandydatki profesora Vetulaniego. Wszak prorektor UJ (bezpartyjny) profesor Kazimierz Popiołek, jeśli chciał coś załatwić wbrew rektorowi UJ (!), a było takich spraw wiele i to ważnych, musiał szukać poparcia (faktycznie: decyzji) we władzach województwa katowickiego. Wiadomo, że był zaprzyjaźniony z pułkownikiem (powstańcem śląskim, później generałem) Jerzym Ziętkiem, przewodniczącym Prezydium WRN, następnie wojewodą śląskim, człowiekiem-ikoną śląskiej ludności (okna mojego katowickiego mieszkania dzisiaj wychodzą wprost na pomnik Jerzego Ziętka, stojący w bezpośrednim sąsiedztwie znanego pomnika Powstańców Śląskich).

Wydaje mi się, że od marca 1968 roku ze Stanisławem Grodziskim rozumieliśmy się dobrze. Wydarzenia marcowe 1968 pewnie rozwiały wątpliwości u Grodziskiego, mimo że ja „na barykady” nie wychodziłem, bo bałem się utracić to, co dopiero uzyskałem, a nadto w ogóle nie mam takiego temperamentu. Jako początkujący, chodziłem na wykłady Grodziskiego dość regular-

nie i zostały mi one w trwałej pamięci. Nie tylko z uwagi na stronę merytoryczną, ale także ze względu na formę i styl, znakomitą retorykę z lekką nutką humoru i dystansu, podnoszącą zainteresowanie słuchaczy i ułatwiającą zapamiętanie istotnych treści wykładu. To też są cechy, które na zawsze związały się w moich pamięciowych asocjacjach z postacią Stanisława Grodziskiego.

Kiedy na początku 1970 r., Rada Wydziału Prawa już wówczas Uniwersytetu Śląskiego poprosiła docenta Stanisława Grodziskiego o podjęcie się funkcji recenzenta w moim przewodzie doktorskim, nie odmówił, a recenzję wykonał szybko i życzliwie. W kilkanaście lat później, wiosną 1985 roku, katowicka Rada Wydziału prosiła profesora Stanisława Grodziskiego o opinię dla mojego wniosku o tytuł naukowy profesora (tytuł naukowy profesora nadzwyczajnego; wówczas były jeszcze dwa osobne tytuły naukowe: profesora nadzwyczajnego i zwyczajnego). Podobnie jak 15 lat wcześniej, opinia była szybka i życzliwa. Rok 1982 to nie był dobry rok dla kogoś, kto był „elementem antysocjalistycznym”. I właśnie wówczas, wiosną tego ciężkiego roku, kiedy byłem mocno zestresowany i miałem ku temu powody, profesor Stanisław Grodziski, wiedząc o stanie mojego ducha, przeszedł ze mną z oficjalnej formy „pan” na bliską „ty”. Bardzo sobie to cenię do dzisiaj, ale wówczas gest ten miał dla mnie szczególne znaczenie. Komentarz nie jest konieczny. Za honor sobie poczytuję, że kiedy przygotowywano wielki jubileusz Stanisława Grodziskiego i wielką księgę jubileuszową, organizatorzy i redaktorzy zwrócili się do mnie, abym – oprócz zwykłego artykułu, który do książki złożyłem – napisał do wyodrębnionej części książki o osobie Jubilata tekst specjalny. Z dużą satysfakcją rzecz wykonałem. Ale to już dzieje znacznie późniejsze. Tymczasem wróćmy do początku samodzielnego Uniwersytetu Śląskiego.

Trzeba przyznać, że rzeczowe zainteresowanie i pomoc władz lokalnych, wojewódzkich były stosunkowo daleko idące i ówczesnie (a może nie tylko ówczesnie) nie miały precedensu, zwłaszcza w zakresie przydzielania pracownikom mieszkań, a wkrótce także domków jednorodzinnych dla tzw. samodzielnich. Owa bardzo dobra sytuacja mieszkaniowa trwała przez szereg lat, a na znacznie dłużej utrwaliła wśród pracowników wyższych uczelni w Polsce przekonanie o swoistym *eldorado* mieszkaniowym w Katowicach. A były to czasy wielkich trudności mieszkaniowych; pamiętajmy, że był to okres, gdy wolny rynek mieszkaniowy nie tylko nie istniał, ale był w ogóle prawnie zakazany. Bez administracyjnej decyzji o przydziale mieszkania uzyskać się nie dało, chyba że w wyniku bardzo trudnej zamiany. Mieszkanie było dobrem materialnym największym. Dla niejednego było więc magnesem potężnym i wielu niewątpliwie autentycznie z miastem i regionem się związało.

Zainteresowanie władz lokalnych wykorzystywane było i owocowało także na polach innych aniżeli ważne potrzeby mieszkaniowe pracowników. Już po kilku miesiącach funkcjonowania Filii (najpóźniej w pierwszej połowie

1967 r.) Prezydium WRN w Katowicach oraz KW PZPR oddały do dyspozycji Filii UJ budynek przy ul. Bankowej 8-10, w którym mieścił się jakiś ośrodek szkolenia partyjnego oraz biblioteka tegoż ośrodka. Po dłuższym remoncie, a w przyszłości kolejnych remontach, które jednak nigdy nie były w stanie zapewnić stosownej – do potrzeb licznego wkrótce wydziału – funkcjonalności, budynek otrzymał Wydział Prawa. Po upadku komunizmu ustalono, że budynek stanowi własność sąsiedniej parafii ewangelicko-augsburskiej i został jej zwrócony, zaś Wydział znalazł się w krytycznej sytuacji lokalowej.

O początkach Wydziału Prawa i Administracji późniejszego Uniwersytetu Śląskiego pisałem przed laty³ i nie miejsce tutaj, by powtarzać rzecz o przygotowaniach do utworzenia Filii UJ. Ostatecznie, 14 października 1966 r., odbyła się uroczystość inauguracji prac Filii UJ w Katowicach i od początku roku akademickiego 1966/67 ruszyły w Filii dzienne studia prawa. Wkrótce do Filii włączono funkcjonujące od kilku lat punkty konsultacyjne prawa zaocznego oraz Zawodowego Studium Administracyjnego⁴. Katowickim oddziałem Wydziału Prawa UJ kierował doc. dr Mieczysław Sośniak jako prodziekan Wydziału Prawa UJ. W katowickim Oddziale Wydziału Prawa utworzono 7 katedr i pozyskano wówczas na stałe 3 tzw. samodzielnych pracowników naukowych⁵; byli to docenci Mieczysław Sośniak, Karol Gandor oraz Lesław Pauli. Kiedy 30 lat później, na uroczystym posiedzeniu Rady Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Śląskiego, 30 czerwca 1998 roku, miałem przyjemność mówić o owych początkach, jakże wiele głosów świadków wydarzeń podnosiło kwestię atmosfery na tworzącym się katowickim Wydziale. Dominowały głosy podnoszące niepowtarzalne koleżeństwo i ogólnie bardzo dobre stosunki międzyludzkie, chociaż obraz nie był bez skazy⁶.

Zaczyznałem pracę 1 listopada 1966 r. w Filii Uniwersytetu Jagiellońskiego, w Zakładzie Historii Praw Obowiązujących w Dawnej Polsce. Drugą jednostką historyczno-prawną była Katedra Powszechnej Historii Państwa i Prawa oraz Praw Obcych na Śląsku. Nietypowe nazwy miały podkreślać odrębność katowickiej Filii od macierzystego Wydziału Prawa UJ. Jako początkujący w fachu historyczno-prawnym magister, zmagalem się z banalnymi, codziennymi problemikami asystenta na naukowej i dydaktycznej niwie, sam sobie będąc „sterem, żeglarzem, okrętem”. Przybyły wkrótce po mnie, wówczas również magister, Józef Ciągwa, z którym rychło zaprzyjaźniliśmy się na następnych lat kilkadziesiąt, podobnie jak ja odczuwał naukową biedę

³ A. Lityński, *U początków Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Śląskiego*. „Z dziejów prawa”, cz. 2, Katowice 1999, s. 179-193.

⁴ „Wyrósł z dobrego drzewa...”. *Uniwersytet Śląski...*, s. 286.

⁵ Sprawozdanie prorektora ds. Filii UJ w Katowicach prof. Kazimierza Popiołka złożone na posiedzeniu Senatu UJ 30 listopada 1966 r. „Wyrósł z dobrego drzewa...”. *Uniwersytet Śląski...*, s. 259.

⁶ A. Lityński, *U początków Wydziału Prawa...*, s. 183.

miejsca i brak wsparcia ze strony naukowego i osobowego autorytetu. Obu nam było ciężko. Katowickim oddziałem Wydziału Prawa UJ kierował doc. dr (później profesor) Mieczysław Sośniak (prawo cywilne). Oprócz Niego, stałymi pracownikami, tzw. samodzielnyimi, byli jeszcze docenci: Karol Gandor (także prawo cywilne) oraz Lesław Pauli; ten ostatni wkrótce wrócił do Krakowa. Niebawem w rozmaitych dyscyplinach pojawiło się kilkoro magistrów, z których jedynie Stasia Kalusowa (*de domo* Mydlarczyk) doszła do profesury i do emerytury na US-ju. Między młodszymi pracownikami panowały wówczas prawdziwie koleżeńskie stosunki i dobra atmosfera. Naukowo była jednak wielka bieda: brak miejscowych profesorów, od których mogliśmy się na co dzień uczyć, spraw w nauce niekiedy nawet banalnych. Do banałów, które asystent od profesora może się dowiedzieć w 5-minutowej rozmowie, dochodziłem sam (także wspólnie z Józkiem Ciągwą) często klucząc całymi tygodniami po bezdrożach.

Na przełom lat 1966 i 1967 przypada początek rozmów natury politycznej na temat utworzenia w Katowicach uniwersytetu. Charakterystyczne, zarówno dla owych czasów, jak i dla układu stosunków na linii Katowice – Kraków, że początkowo rozmowy toczyły się przede wszystkim w KW PZPR oraz Prezydium WRN w Katowicach z udziałem dyrektora Departamentu Studiów Uniwersyteckich, późniejszego wiceministra Wita Drapicha. Dopiero na początku 1968 r. włączeni do nich zostali członkowie władz funkcjonującej od 1950 r. katowickiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Nie wiem, kiedy w rozmowach zaczęły uczestniczyć władze UJ, ale wydaje się, że późno, być może nawet dopiero na początku 1968 r. Pierwsze koncepcje na WSP i na UJ szły w analogicznych i jednocześnie dokładnie rozbieżnych kierunkach. Mianowicie w WSP powstała inicjatywa – i była poważnie rozważana – przyłączenia do WSP Filii UJ, bez kierunku prawa (!), i stworzenia tą drogą Śląskiej Akademii Pedagogicznej na okres przejściowy do chwili utworzenia uniwersytetu w Katowicach⁷. Natomiast niemal dokładnie w tym samym czasie (28 lutego 1968) rektor UJ prof. dr Mieczysław Klimaszewski na posiedzeniu Senatu UJ poinformował, że „po przeprowadzeniu rozmów w KW PZPR w Katowicach oraz z prorektorem Filii doszedł do przekonania, że słuszne byłoby włączenie WSP do Filii, bez żadnej selekcji, ze wszystkimi pracownikami i studentami. Zgodnie z tym, Senat UJ podjął uchwałę stwierdzającą, że nie ma „żadnych przeszkód co do inkorporacji WSP do Filii”⁸. Na Wydziale Prawa na ogół nie odczuwaliśmy rozmaitych problemów, zwykłych w takiej sytuacji, wiążących się z przewidywanym połączeniem obu uczelni, gdyż prawo nie miało żadnego styku merytorycznego i personalnego z WSP, ale inaczej było na Wydziale

⁷ „Wyrósł z dobrego drzewa...”, *Uniwersytet Śląski...*, s. 273-274.

⁸ „Wyrósł z dobrego drzewa...”, *Uniwersytet Śląski...*, s. 289, zob. też s. 272-3.

Matematyczno-Fizycznym Filii i przede wszystkim w WSP, gdzie niepokoje były duże, a dotyczyły chyba głównie spraw kadrowych.

Kiedy przyszedł pamiętny marzec 1968 r., sprawa połączenia WSP oraz Filii UJ była więc już zaawansowana, ale przecież nie sposób dzisiaj odpowiedzieć na pytanie, jak długo jeszcze trwałaby realizacja zamierzenia. Demonstracje studenckie na Górnym Śląsku nie należały wprawdzie do największych w kraju, ale były zauważalne; pamiętam dobrze, że obszernie relacjonowano je w Radiu Wolna Europa. O ile wiem i pamiętam, na Uczelni nie wyciągano jednak żadnych konsekwencji wobec studentów zatrzymanych przez MO. To wówczas, 14 marca, na plac Feliksa Edmundowicza Dzierżyńskiego (obecnie to plac Sejmu Śląskiego, zaś znajdujący się przy tym placu budynek byłego Komitetu Wojewódzkiego PZPR stał się własnością Uniwersytetu) zwieziono i przyprowadzono około 100 tysięcy osób, a z trybuny E. Gierek gromił niezależnych intelektualistów w rodzaju Jasienicy i Kisielewskiego i w pełnym gróźb przemówieniu stwierdzał, że „[...] dają o sobie znać różni pogrobowcy starego ustroju, rewizjoniści, syjoniści, sługusi imperializmu. Chcę z tego miejsca stwierdzić, że śląska woda nie była i nigdy nie będzie wodą na ich młyn. I jeśli poniekąd będą nadal próbowali zawracać nurt naszego życia z obranej przez naród drogi, to śląska woda pogruchoce im kości”. Kilka tygodni później – w kwietniu 1968 r. – Wydział Nauki, Oświaty i Kultury KW PZPR opracował dokument w sprawie połączenia Filii UJ oraz WSP i stworzenia Uniwersytetu Śląskiego. Dalsze prace nad utworzeniem uniwersytetu w Katowicach potoczyły się już szybko, skoro z datą 8 czerwca 1968 r. ukazało się rozporządzenie Rady Ministrów w sprawie utworzenia Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach (Dz.U. Nr 18, poz. 11). Z pewnością wszystko się odbywało w daleko idącej dyskrekcji, by nie rzec – tajnie, czego najlepszym dowodem jest, że władze UJ poinformowane zostały o już podjętych decyzjach dopiero 29 maja 1968 r., czyli na 10 dni przed wydrukowaniem aktu prawnego w Dzienniku Ustaw. W dniu tym, 29 maja 1968 r., Senat UJ odbywał swoje posiedzenie w Filii w Katowicach. W protokole posiedzenia Senatu UJ zanotowano, że ta przykra, bolesna dla UJ decyzja została podjęta bez porozumienia z UJ „oraz bez porozumienia z kierownictwem jego Filii w Katowicach”⁹. Główna postać owych wydarzeń, prof. K. Popiołek, tak po latach wyjaśniał i interpretował zdarzenia: „Rozumiejąc żal i zawód UJ z powodu zamierzonego, zadecydowanego już, bez porozumienia z władzami UJ, oderwania Filii, trzeba zaznaczyć, że: 1) wobec niemałych trudności, na jakie sprawa utworzenia uniwersytetu napotykała w ministerstwie, władze katowickie nie chciały pogarszać sytuacji w razie ewentualnego sprzeciwu UJ i 2) władze UJ musiały zdawać sobie sprawę z tego, że tak poważny ośrodek, jaki stanowiło przemysłowe województwo katowickie, nie może na dłuższą

⁹ „Wyrósł z dobrego drzewa...”, *Uniwersytet Śląski...*, s. 282.

metę zadowolić się posiadaniem tylko filii, nawet tak szacownej, znakomitej uczelni jak Uniwersytet Jagielloński. Nie oczekiwano jednak, że nastąpi to tak szybko i że władze UJ zostaną tym zaskoczone¹⁰. To ostatnie stwierdzenie wykazuje, jak bardzo wydarzenia marcowe przyspieszyły utworzenie odrębnego uniwersytetu i jak bardzo to wszystkich zaskoczyło. Czterowydziałowa¹¹ struktura Uniwersytetu Śląskiego została określona i uregulowana zarządzeniem Ministra Oświaty i Szkolnictwa Wyższego z 31 lipca 1968 r.¹²; jednym z tych wydziałów był Wydział Prawa i Administracji.

Rektorem został oczywiście profesor Kazimierz Popiołek, a jednym z dwu pierwszych prorektorów, prorektorem ds. ogólnych, został jeden z pionierów katowickiego Wydziału Prawa i Administracji doc. dr hab. Karol Gandor. W dniu 1 października 1968 r. odbyła się pierwsza uroczysta inauguracja roku akademickiego na Uniwersytecie Śląskim. Miejszem uroczystości była Hala Parkowa w Katowicach. Gala była duża. Obecni byli m.in. (wymieniam w kolejności ówczesnej ważności osób i ich stanowisk): I sekretarz KW PZPR Edward Gierek, premier rządu Józef Cyrankiewicz, minister Oświaty i Szkolnictwa Wyższego Henryk Jabłoński, przewodniczący Prezydium WRN Jerzy Ziętek, a także rektorzy innych uniwersytetów (w tym rektor UJ Mieczysław Klimaszewski) i rektorzy uczelni województwa katowickiego, również inni goście. Wykład inauguracyjny *O wartościach politycznych tradycji Polski piastowskiej* wygłosił Profesor Jan Baszkiewicz, który właśnie w tym dniu rozpoczynał pracę w UŚ. Dziekanem Wydziału Prawa i Administracji został Profesor Mieczysław Sośniak, a pierwszymi prodziekanami docenci Antoni Agopszowicz (prawo górnicze) i Karol Sobczak (prawo administracyjne). Zespół liczył wówczas 7 profesorów i docentów. W chwili powstania Uniwersytetu studiowało na Wydziale około 500 studentów studium dziennego oraz około 1000 studentów zaocznych na prawie oraz ZSA. Dla studentów dwóch pierwszych lat zaocznej administracji utworzono (w 1970 r.?) punkt konsultacyjny w Bielsku-Białej, czyniąc mnie jego kierownikiem.

Jak wspominałem, od 1 X 1968 na Wydziale Prawa Uniwersytetu Śląskiego pojawił się profesor Jan Baszkiewicz. Już wówczas otaczała Go aura wielkości: przyszedł do nas wielki uczony, a jednocześnie człowiek znający się na organizacji nauki i dydaktyki, wielce kompetentny we wszystkim, co podejmował, mający szerszą od przeciętnej wizję funkcjonowania uniwersytetu. Ta wielkość emanowała z Niego. Niekiedy nie była dobrze odbierana przez ludzi mających wielkie ambicje, którym jednak nie towarzyszą stosowne możliwo-

¹⁰ „Wyrósł z dobrego drzewa...”, *Uniwersytet Śląski...*, s. 290.

¹¹ Były to wydziały: Humanistyczny, Matematyki, Fizyki i Chemii, Prawa i Administracji, Wychowania Technicznego.

¹² Dziennik Urzędowy Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego 1968, nr A-10, poz.71.

ści; zazdrosnych nie brakuje. Dojeżdżał do Katowic z Warszawy i zawsze odczuwaliśmy, że był za krótko, że jeszcze chcielibyśmy – Józef Ciągwa i ja – o wielu sprawach porozmawiać, o wiele zapytać, wiele usłyszeć. Tak bardzo czepialiśmy się tych rozmów, że obaj (nie słuchając zakazów) wychodziliśmy po Profesora na dworzec, by w czasie spaceru, z niedalekiej stacji kolei żelaznej na Wydział, porozmawiać. Był nam bardzo potrzebny. Przy swojej zasadniczej surowości, był nam bardzo życzliwy. Już sama Jego obecność jako Szefa była dla nas czymś bezcennym. Wreszcie miałem pierwszego szefa – historyka prawa, życzliwego. Po tylu latach błędzenia po omacku. Ja miałem przecież wówczas już prawie 29 lat. Bardzo to było dla nas, Józefa Ciągwy i dla mnie, wydarzenie szczęśliwe. Nie da się dziś powiedzieć, czy obaj byłibyśmy dziś tymi samymi ludźmi, gdyby nie było Jana Baszkiewicza na Wydziale Prawa Uniwersytetu Śląskiego na przełomie lat 60. i 70., gdyby wówczas profesor Jan Baszkiewicz nie został naszym szefem. Szefem, którego tak bardzo potrzebowaliśmy. Ale został rychło czymś zdecydowanie więcej niż tylko szefem, został naszym Mistrzem. Dla mnie był moim jedynym szefem w naukowym historyczno-prawnym życiorysie i jedynym Mistrzem, jakiego miałem. Cieszę się i jestem dumny, że byłem Jana Baszkiewicza pierwszym doktorem i pierwszym z uczniów, który później „stał na kobiercach belwederskich” – odbierając tytuł profesora – jak mi to kiedyś pięknie napisał w liście.

Do przybycia Jana Baszkiewicza do Katowic magister Adam Lityński, błędząc po omacku, usiłował samotnie przygotowywać pracę doktorską z zakresu parlamentaryzmu polskiego XVII-XVIII wieku, a konkretnie o rządach sejmikowych w Polsce. Po niepowodzeniach wrocławskich oraz druzgocącej profesora Adama Vetulaniego krytyce przywiezionego z Wrocławia tekstu, podjąłem zupełnie nową pracę doktorską, chociaż pozostającą w tym samym kręgu problemów rządów sejmikowych w Polsce XVII i początku XVIII wieku. Sam sobie sformułowałem temat, postawiłem problemy badawcze i przede wszystkim zakreśliłem – znacznie szerzej – bazę źródłową. Pracowicie jeździłem głównie do Krakowa, by w archiwum na Wawelu oraz w PAU mozolnie przepisywać teksty źródłowe. Nadal sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem... Po kolejnych latach pracy samouk zdobywał jednak doświadczenie, mimo że pracą nikt się nie opiekował i skromnego autora nie wspierał; swojego promotora powstająca nowa rozprawa nie miała. Jan Baszkiewicz – jak wszyscy wiemy – nie był specjalistą podjętego przeze mnie tematu; był Mu on nawet wielce odległy. Ale piszącemu te słowa autorowi wsparcia udzielił niezwłocznie, a gdy rzecz była ukończona, całość dokładnie przeczytał, poprawiając przecinki. Następnie nadał sprawom stosowny bieg. Nie chciał być promotorem, nie czując się właściwym dla tematu. Musiałem Go usilnie namawiać.

W dniu inauguracji, Wydział Prawa liczył tylko 11 profesorów i docentów (w tym bodajże dwóch docentów bez habilitacji, tzw. marcowych, którzy jednak tę habilitację później zrobili) oraz 22 adiunktów i asystentów. Kadra jednak wzrastała, co pozwoliło na uzyskanie przez Wydział Prawa doktoryzowania już w drugiej połowie 1969 r. Pierwszy przewód doktorski przeprowadzono i zakończono na przełomie 1969/1970 r. i był to mój przewód. Obrona mojej pracy doktorskiej (*Rozwój organów szlacheckiego samorządu gospodarczego w Małopolsce do 1717 roku*), z promotorstwa profesora Jana Baszkiewicza, odbyła się 28 kwietnia 1970 r., przed Radą Wydziału Prawa Uniwersytetu Śląskiego. Rozprawę recenzowali: doc. dr hab. Stanisław Grodziski z UJ, doc. dr hab. Karol Jonca z UW – obaj wówczas dojeżdżali do Katowic z wykładami, prof. dr Zdzisław Kaczmarczyk z UAM. Była to pierwsza obrona doktorska na tym Wydziale, toteż pewnie dlatego wzbudziła wielkie zainteresowanie i zgromadziła tłumy, głównie studentów. Praca doktorska po pewnych skrótach i niewielkich przeróbkach została później wydrukowana, o co wówczas było wielce niełatwo, ale co mi załatwił mój promotor. Za pracę tę otrzymałem też nagrodę Ministra. Wkrótce po doktoracie obciążono mnie funkcją p.o. kierownika Zakładu. Dokładnej daty nie pamiętam, ani też nie zachowałem dokumentu powołania; nie mam też pewności, jaka była nazwa Zakładu, ale chyba po prostu Historii Państwa i Prawa Polski. Przyjęto jakichś asystentów, na co wpływu jednak żadnego nie miałem. Żaden z tych pierwszych młodych ludzi się później nie sprawdził, z rozmaitych zresztą przyczyn; żaden nie pochodził z seminarium historyczno-prawnego, bo po odejściu Baszkiewicza, a przed moją habilitacją, seminarium takiego nie było; słusznie przestrzegano zasady, że seminarium magisterskie może być prowadzone jedynie przez pracownika z habilitacją. Do moich obowiązków jako p.o. kierownika Zakładu należały wszelkie sprawy realizacji dydaktyki przez Zakład i różne sprawy administracyjne. Stale byłem sam na szczycie; za wcześniej i ze zbyt dużym obciążeniem, mimo generalnie panującej życzliwości i dobrej atmosfery na Wydziale. Korzystałem ja sam, a potem także moi uczniowie z zawsze życzliwej pomocy „starszego brata”, jakim był UJ, korzystałem z pomocy UAM i UW. Szczególnie w katedrach historyczno-prawnych UJ byłem częstym gościem, zawsze z pełną życzliwością przyjmowanym, zawsze znajdującym radę. Później tą samą drogą wysyłałem moich uczniów i oni też zawsze znajdowali pomoc. Ale to jednak nie jest to samo, co mieć na co dzień, obok siebie, swojego szefa (stanowiącego tarczę ochronną), swojego mistrza, nauczyciela.

Habilitacja moja dotyczyła dawnego prawa karnego, znowu obszaru Janowi Baszkiewiczowi odległego, ale to rozmowy z Nim – po doktoracie – skierowały mnie w tym kierunku badawczym. To od mojego Szefa i Mistrza dowiedziałem się, że habilitację należy robić z innego obszaru badawczego niż doktorat i że w ogóle należy dokonywać – od czasu do czasu – pewne-

go „płodozmianu” w badaniach naukowych, że przyszedł profesor nie może być profesorem jednej grupy tematów. Ta rozmowa trwała może 3 minuty, ale w tym zakresie ukształtowała mnie do końca życia. Proszę zwrócić uwagę, że wyjątkowo często dokonywałem w życiu naukowego „płodozmianu”, a kiedy zaś przychodzi mi dokonywać oceny habilitanta, zwracam baczną uwagę, czy nie jest to człowiek jednego wąskiego tematu.

To Jan Baszkiewicz – chyba po konsultacji z profesorem Bogusławem Leśnodorskim, którego wówczas jeszcze nie znałem – zasugerował mi przed-rozbiorowe polskie prawo karne, ze szczególnym uwzględnieniem projektu Kodeksu Stanisława Augusta. Nieco później, gdy już w temacie dawnego prawa karnego się zaawansowałem, Jan Baszkiewicz załatwił mi semestralny staż naukowy na UW u profesora Bogusława Leśnodorskiego. Ten staż był wielce potrzebny dla realizacji przedsięwzięcia: zasoby archiwalne AGAD-u stały się realnie dostępne, podobnie bogactwo stołecznych bibliotek. Profesor Leśnodorski interesował się zarówno moimi sprawami naukowymi, jak też bytowymi w Warszawie; poznałem grupę wybitnych historyków prawa, zaś nawiązany wówczas kontakt z profesorem Juliuszem Bardachem utrzymał się dość żywy do końca, bo profesor Bardach zawsze wykazywał dużą chęć udzielania naukowej pomocy młodszym. Ostatnio (podczas krakowskiego zjazdu katedr w 2014) Wanda Bardach mówiła mi, że segreguje (i przygotowuje do druku?) korespondencję Profesora i że moich listów jest tam nadzwyczaj dużo, bo Profesor wszystkie je przechował. Wówczas poznałem m.in. docent Katarzynę Sójkę-Zielińską, z którą miłe i ścisłe kontakty naukowe utrzymują się do dziś; która opiniowała moją profesurę w Centralnej Komisji, zaś ja dostąpiłem zaszczytu napisania opinii do odnowienia doktoratu Kasi na UW.

Jana Baszkiewicza odejście z Katowic (1973) było oczywistą, dużą stratą dla całego środowiska naukowego Uniwersytetu Śląskiego, a w szczególności dla Jego podwładnych. I chociaż więź zawsze pozostała, to jednak odczuwałem ją jako za słabą w stosunku do tego, co chciałyby; wynikało to pewnie głównie z faktu, że obaj pracowaliśmy w specjalnościach zupełnie różnych. Zawsze jednak mogłem do Janka (z biegiem czasu dostąpiłem zaszczytu przejścia na „ty”) zwrócić się z kłopotami; tak było, gdy w latach po stanie wojennym PZPR-owska władza gdzieś na warszawskich szczytach na długo zablokowała mi naukowo potwierdzony tytuł profesorski. Kłopotu Mistrz nie usunął, ale było z kim o tym porozmawiać, uzyskać życzliwą radę. Odejście Szefa miało też ten skutek, że to ja – najstarszy stopniem historyk prawa – stałem się szefem, a to już był ciężar niemały. I tak już zostałem szefem, aż do osiągnięcia ustawowego wieku emerytalnego (70), kiedy to przekazałem „berło” mojemu najzdolniejszemu uczniowi – Marianowi Mikołajczykowi, wówczas już doktorowi habilitowanemu, profesorowi UŚ.

Pierwotnie wykłady z historii państwa i prawa Polski prowadzili historycy państwa i prawa UJ, ówczesnie docenci Stanisław Grodziski i Ludwik

Łysiak, przez rok dojeżdżał Franciszek Połomski z Wrocławia, ale w pewnym momencie (1969?) w ich miejsce pojawił się Stanisław Płaza, jeśli dobrze pamiętam, to początkowo jeszcze w stopniu doktora. Byłoby nieprawdą, gdybym powiedział, że od pierwszego wejrzenia uczynił na mnie wielkie wrażenie i że natychmiast poczułem do Niego sympatię. Był starszy ode mnie o 12 lat i dość długo utrzymywał się dystans wynikający zarówno z wieku, jak i z zawsze istniejącej różnicy stopnia naukowego. Wówczas na uniwersyteckiej linii Katowice-Kraków łatwo iskrzyło i chociaż działo się tak głównie na wysokich szczeblach, to jednak nie mogło pozostawać nie zauważone i bez znaczenia dla magistra i doktora. Doktor, a wkrótce docent Stanisław Płaza wszakże daleki był od wszelkiej polityki uniwersyteckiej; nie przypominam sobie, by kiedykolwiek uczynił w tym kierunku jakąkolwiek aluzję. Od początku widać było, że jest pochłonięty zarówno pracą naukową, jak i dydaktyczną; ten drugi obszar w Katowicach widać było oczywiście bez porównania lepiej, bo przecież dla dydaktyki regularnie przyjeżdżał z podwawelskiego grodu do polskiej stolicy węgla i stali. Nie przypuszczałem wówczas, że z biegiem czasu znajdziemy tak wiele wspólnych tematów i tak się zaprzyjaźnimy. Kiedy w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych przestał jeździć do Katowic, ja zacząłem jeździć do Krakowa. W pierwszym szeregu gotowych do pomocy zawsze był Stanisław Płaza, zawsze życzliwy, zawsze skrupulatny; jeśli przyszło przeczytać tekst młodszego kolegi, czynił to chętnie i ze zwykłą sobie dokładnością oceniał i poprawiał każdy szczegół, dodając – gdy zachodziła potrzeba – niezwykle cenne wskazówki bibliograficzne. Tak było zresztą do ostatniej chwili, nawet gdy byłem już starym profesorem. Jeździłem nie specjalnie do Stanisława Płazy: wśród krakowskich uczonych znalazłem wielu, którzy życzliwie gotowi byli poświęcić swój czas dla udzielenia naukowej pomocy młodszemu koledze, który w Katowicach samotnie przebijał się przez naukową gęstwinę problemów. W następnych latach – już po mojej habilitacji – związki między nami umocniły się jeszcze na płaszczyźnie tematów badawczych: Stanisław Płaza zaczął pisać o sejmikach (z których ja zrobiłem doktorat), a ja kiedyś napisałem (CPH t. XXXVII, z. 1, s. 145-161) w związku z jego książką artykuł recenzyjny pt. *O modelu monografii sejmików*; bardzo wysoko ocenilem Jego książkę, ale równocześnie miałem wiele swoich innych koncepcji generalnych, co zawarłem we wspomnianym artykule. Nieskromnie powiem, że ten mój tekst w CPH stał się modelowym dla badaczy sejmików, których było wielu; m.in. grupujących się w ogólnopolskim zespole do spraw historii parlamentaryzmu polskiego, powołanym i prowadzonym długie lata przez Profesora Juliusza Bardacha, gdzie miałem zaszczyt być zaproszonym. Na 70-lecie urodzin Stanisława Płazy Jego macierzysta Uczelnia – Uniwersytet Jagielloński, w tym Wydział Prawa i Administracji UJ, zorganizowali piękną uroczystość, której główna część – naukowa – odbywała się w najstarszych murach najstarszej polskiej uczelni.

Czułem się wielce zaszczycony, gdy poproszono mnie o wygłoszenie wykładu, mającego uświetnić uroczystość, na którą zaproszono i na którą przybyli nader licznie uczeni goście z całego kraju, a także z zagranicy.

Wracając do moich kontaktów z UJ przed moją habilitacją, po odejściu z Katowic Jana Baszkiewicza: Stanisław Grodziski, Ludwik Łysiak, Stanisław Płaza, Waław Uruszczak (jeszcze wówczas przed habilitacją), zawsze byli gotowi omówić sprawy, które chciałem przedstawić do rozważenia. Gdy o to poprosiłem, przyjeżdżałem na posiedzenia naukowe Katedry, a oni siadali i dyskutowali nad moimi koncepcjami habilitacyjnymi. Dyskutowało się w Krakowie naukowo bardzo ostro, nie oszczędzając referenta i jego pomysłów, jego prac. Toteż jechałem tam każdorazowo stremowany i nawet zestresowany, ale jechałem, bowiem po doświadczeniach wrocławskich zdawałem sobie sprawę z wagi i potrzeby dyskusji. Nie zaniedbywałem też raz nawiązanych naukowych kontaktów najpierw z Poznaniem, a później także z UW. W UAM napotkałem nadzwyczaj przyjazną atmosferę, której ton nadawał przede wszystkim profesor Witold Maisel, będący szczególnie kompetentnym uczonym w obszarze dawnego prawa karnego, z czego wszak przygotowywałem rozprawę habilitacyjną. Profesor Witold Maisel, zawsze z uśmiechem, zawsze życzliwie, gotowy był w każdej formie udzielać pomocy, także korespondencyjnie (czytywał przesyłane teksty, poprawiał i odsyłał, zawsze szybko) i telefonicznie (odpowiadał na wszelkie pytania, doradzał). Z szacunkiem też wspominam kontakty z profesorem Zdzisławem Kaczmarczykiem, który był poprzednio moim recenzentem przy doktoracie. Dyskusje na zebraniach naukowych w UAM nie tylko nie były dla mnie stresujące, a wręcz satysfakcjonujące. Dużo pomocy – także pozanaukowej – udzielała mi Ewa Borkowska-Bagińska, z którą zaprzyjaźniliśmy się na długie lata i z którą mieliśmy wiele wspólnych tematów naukowych, z Krystyną Sikorską-Dzięgielewską przyjaźń pozostała do dzisiaj. Podobnie, chociaż wówczas jeszcze z należyтым dystansem wobec Profesora i Dziekana, bardzo sympatycznie ułożyły się kontakty z Henrykiem Olszewskim, autorem m.in. zawsze podziwianej przeze mnie monografii o sejmie Rzeczypospolitej okresu oligarchii, co wszak było mi bardzo bliskie tematem, podobnie jak i inne Jego prace. I właśnie osoba Henryka Olszewskiego na urzędzie dziekańskim przeważała w moich wahaniach co do miejsca ubiegania się o postępowanie habilitacyjne: UJ czy UAM. WP UŚ posiadał już wprawdzie prawa habilitowania, ale nie w dziedzinie historii państwa i prawa; ówczesne przepisy nakazywały, aby w Radzie Wydziału znajdował się co najmniej jeden samodzielny pracownik habilitowany z danego przedmiotu. Niezależnie od eleganckiej życzliwości Olszewskiego, fakt iż sprawował On urząd dziekana był dla mnie – człowieka z zewnątrz – bezcenny. W Krakowie nigdy do tej pory nie wdrapałem się na Olimp, na którym siedział jakże odległy, nieznanymi mi dziekan (to był nawet inny budynek); w Poznaniu z dziekanem, z którym

trzeba wszak było załatwiać i przed, i po kolokwium mnóstwo spraw, miałem łatwy, bezpośredni kontakt, z możliwością zatelefonowania z domu celem omówienia jakichś szczegółów. Wybrałem UAM. Rzeczywiście, miałem tam zielone światło we wszystkich sprawach formalnych i nawet pewnych szczegółach technicznych, zarówno przed kolokwium, jak i później. Bardzo dobrze to wspominam.

W Katowicach miałem pełną życzliwość władz Wydziału i Uczelni w związku z przygotowaniem się do habilitacji. Toteż moja książka habilitacyjna pt. *Przestępstwa polityczne w polskim prawie karnym XVI-XVIII wieku* wydrukowana została w Wydawnictwie UŚ w ekspresowym tempie 15 miesięcy (takie było wówczas „ekspresowe” tempo druku!) i w protekcyjnie wielkiej objętości 14 arkuszy wydawniczych; wewnętrzne przepisy UŚ pozwalały na prace habilitacyjne przeznaczać najwyżej 8 arkuszy; jak wszystko, papier był deficytowy i brakowało „limitów”, o mocach przerobowych wydawnictwa i drukarni nie wspominając. Był to początek roku 1976.

W UAM poproszono o recenzje habilitacyjne profesorów Bogusława Leśnodorskiego (UW), Lesława Paulego (UJ) oraz Zdzisława Kaczmarczyka i Witolda Maisla z UAM. Recenzenci napisali opinie szybko i kolokwium pierwotnie zaplanowano na czerwiec 1976 r., ale okazało się, że na ten termin nie przyjedzie profesor Leśnodorski, który przebywał w tym czasie w sanatorium. Kolokwium mogło i miało się odbyć bez Jego obecności, ale ja uważałem, że skoro profesor Leśnodorski był moim opiekunem podczas ważnego dla książki habilitacyjnej stażu w Warszawie, to byłoby ładniej na Niego poczekać. Uważałem też, że dla wizerunku mojej habilitacji będzie lepiej, jeśli obecni będą wszyscy recenzenci. I tu znowu bezcenny był życzliwy i bezpośredni kontakt z dziekanem Olszewskim, który przychylił się do mojej bardzo prywatnej i bardzo nieoficjalnej prośby przesunięcia kolokwium na termin, który byłby do przyjęcia dla wszystkich czterech recenzentów. Ostatecznie kolokwium – w pełnym składzie – odbyło się 9 listopada 1976 roku. Na kolokwium przyjechał, wydelegowany przez katowickiego dziekana profesora Michała Staszkowa, delegat/obserwator katowickiej Rady Wydziału, dopuszczony przez Radę Wydziału UAM, profesor Józef Nowacki (teoria i filozofia prawa), człowiek poważny, godny szacunku. „Pióro trzymała” moja serdeczna koleżanka dr Ewa Borkowska-Bagieńska. Kolokwium przebiegło bez problemów, w atmosferze życzliwości, nie stresowało mnie bardziej niż zwyczajnie w takich momentach. W pamięci została mi m.in. przemiała pani sekretarka dziekana Olszewskiego, znana mi już z wcześniejszych licznych kontaktów; do momentu wejścia do sali RW na kolokwium tytułowała mnie doktorem, ale od momentu wyjścia (jeszcze przed ogłoszeniem wyniku kolokwium) tytułowała mnie już docentem! Przebiła zwyczaj galicyjskie. Po kolokwium liczne papiery urzędowe przygotowywała Ewa Borkowska-Bagieńska, w miarę potrzeby ze mną współdziałając.

Zawiadomienie o zatwierdzeniu stopnia przez CK przyszło jakoś na początku roku, ale na powołanie na stanowisko docenta nieco czekałem i nastąpiło ono z dniem 1 października 1977 r. Z tym samym dniem zostałem też powołany do funkcji prodziekana Wydziału. Nie było wówczas żadnej obieralności władz jakiegokolwiek uczelni; powoływał zwierzchnik; zgodnie z ustawą, prodziekanem mógł być tylko docent lub profesor. Miałem powierzony i dość autonomicznie przeze mnie sterowany dział nauczania studentów dziennych na Wydziale. Dziekan widocznie do mojej działości się nie wtrącał, bo nawet nie jestem pewien, kto był wówczas dziekanem. Ze studentami miałem bardzo dobry kontakt, mimo że chyba byłem w miarę rygorystycznym prodziekanem. „Ciśnienie władz politycznych” dawało się w Katowicach zawsze mocno odczuwać i to, zarówno idące z góry, od władz partyjnych i państwowych województwa, jak i w rezultacie od władz uczelni, której rektorem został profesor Henryk Rechowicz, w pewnym okresie m.in. członek KC PZPR. Ciśnienie polityczne odczuwałem i ja, chociaż (a może: tym bardziej, że...) do końca pozostałem bezpartyjny. Przekładało się to także na zawalowaną inwigilację bezpieczeństwa. Przez trzy i pół roku mojego prodziekanstwa, funkcjonariuszy bezpieczeństwa, „aniołów stróżów” Wydziału, nie miałem czasu ani razu przyjąć, mimo że zapowiadali się oni przez sekretarkę wielokrotnie. W końcu zaprzestali. A wiedzieli niewątpliwie, że każdy student, bez jakiegokolwiek zapowiadania się, mógł do mnie wchodzić i wchodził o każdej porze dnia, także wchodził drzwiami bezpośrednio z korytarza, z pominięciem sekretarki. Między innymi tego z pewnością nie mogli mi zapomnieć; nie byli do czegoś takiego przyzwyczajeni. Wydaje mi się, że niektórzy funkcyjni nie raz po prostu spełniali ich polecenia... Mam wrażenie, że studenci z biegiem czasu wyczuwali moją niezależność i stąd ich chyba rosnące do mnie zaufanie, mimo że nie byłem łatwym prodziekanem. Tak nadeszły lata 1980-1981 i następne. To były czasy, gdy ze studentami dużo się rozmawiało, z nimi się było... To były gorące dni, jak wszędzie.

Jeśli mnie pamięć nie myli, to w 1981 roku po raz pierwszy wybraliśmy, bez narzucania i skrępowania, władze uniwersytetów i wydziałów. Rektorem US-iiu został profesor August Chełkowski, fizyk, bardzo aktywny solidarnościowiec, zaś dziekanem WPiA wybraliśmy profesora Antoniego Agopszowicza (prawo górnicze). Do Agopszowicza zawsze żywiłem najwyższy szacunek: żołnierz września 1939, obrońca Warszawy, potem żołnierz AK, powstaniec warszawski, po wojnie pracował długie lata w Wyższym Urzędzie Górniczym w Katowicach, poza uczelnią zrobił doktorat i habilitację. Człowiek bardzo prawy, zasadniczy, a jednocześnie pragmatyczny; to był dobry wybór na te trudne czasy. Ja zostałem wybrany do kontynuowania dotychczasowej mojej funkcji prodziekana do spraw nauczania studentów dziennych.

Noc grudniowa 1981 była dla mnie szokiem, w czym wszak nie byłem odosobniony, mimo że nie była przecież tak bardzo zaskakująca. Szok – u mnie

głęboki – wynikał przede wszystkim z pogrzebienia nadziei, że ten barak w tym obozie socjalistycznym da się trochę lepiej umeblować, przyzwocie, że my – ludzie – będziemy mieli choć trochę do powiedzenia. Momentalnie wszystko runęło, w moim pesymistycznym przewidywaniu – runęło na następne kilkadziesiąt lat! Podobnie jak na Węgrzech w 1956, jak w Czechosłowacji w 1968. Głęboki stres wywołał u mnie zawał serca w styczniu 1982. Toteż z osobistą ulgą przyjąłem w styczniu 1982 faktyczne odwołanie mnie z prodziekństwa; formalnie złożyłem prośbę o zwolnienie mnie z funkcji, a stało się to na prośbę dziekana Agopszowicza, który wyjaśnił mi, że komisarz wojskowy w istocie wydał polecenie, iż muszę przestać być prodziekanem i jest to tylko sprawa formy odejścia. Byłem stale bardzo czarnych myśli przede wszystkim co do przyszłości Polski i Polaków; dzieje rozbiorów i zrywów niepodległościowych nasuwały mi analogie. Głęboki stres nie opuszczał mnie długimi miesiącami, a w następnych latach tylko nieznacznie ustępował. Wówczas, niemal od początku 1982 roku, nakładał się na to jeszcze osobisty niepokój o moje losy osobiste i zawodowe, bowiem były wyraźne znaki zainteresowania безпеکی moją osobą; zacząłem się ukrywać, co znowu było wielce stresujące. Nie będę rozwijał tego wątku, bo w znacznym stopniu wykracza on poza to, co warto przekazać czytelnikom CPH. Muszę natomiast zaakcentować, że tym samym zawodowy grunt na Uniwersytecie zaczął mi się „palić pod nogami”. Warto przypomnieć lub poinformować czytelników, że UŚ stał się najbardziej represjonowaną uczelnią wyższą w Polsce; w ogóle represje w województwie katowickim/śląskim wydają się najdrastyczniejsze, a strzelanie do górników kopalni „Wujek” może być symbolicznym i tylko jednostkowym tego przykładem. UŚ był też jedyną w Polsce uczelnią, której główny rektor (profesor August Chelkowski) został internowany i prorektor – starsza pani (profesor Irena Bajerowa) również została internowana. Nowy rektor (profesor Sędzimir Maciej Klimaszewski) był ostoją nowego porządku, zaś na US-iu przeprowadzono najszerzej (najliczniej) czystki kadrowe, zwalniając z pracy największą w Polsce liczbę pracowników naukowo-dydaktycznych, w zasadzie jednak niesamodzielnych, często o przekroczonym czasie do habilitowania. Liczyłem się nie tylko z internowaniem (słusznie), zaś zwolnienie z pracy uważałem za niemal pewne, będące tylko kwestią czasu. W takim przypadku oczywiście w ogóle droga zawodowa w zawodzie prawniczym byłaby w zasadzie przekreślona. Nadzwyczaj miłym gestem była wówczas, chyba w kwietniu 1982, decyzja Rady Adwokackiej w Katowicach: wręcz konspiracyjnie, ale z zachowaniem absolutnie wszelkich formalności i form (np. niemal konspiracyjnie złożyłem ślubowanie), przyjęto mnie w skład katowickiej palestry. Dziekanem Rady Adwokackiej w Katowicach był wówczas adwokat Andrzej Dziecioł, ale życzliwość tam spotkałem powszechną. Pamiętano też moje korzenie: nieżyjącego już ojca adwokata, zaś w 1982 roku bezpośrednio wprowadził mnie w środowisko mój brat adwokat

w Katowicach, któremu i wówczas, i później wiele zawdzięczam; zawsze był i jest dla mnie podporą w momentach życiowo trudnych. Dobrze też oceniam i wspominam stosunki międzyludzkie na Wydziale Prawa i Administracji UŚ, nawet, a może tym bardziej – w ciężkim okresie stanu wojennego. To wielkie szczęście. Nie mogę w swoim życiorysie zawodowym nie wymienić w tym kontekście kierowniczkę (do dzisiaj) naszej Biblioteki Wydziałowej – mgr Danusi Gburskiej. W tych czarnych dniach stanu wojennego i później Ona była ostoją dobrego, ludzkiego wsparcia dla każdego. Ona była naszym wydziałowym Wałęsą. Do niej zawsze można się było zwrócić z każdą sprawą. A szeroko udzielała też pomocy na zewnątrz wszystkim tego potrzebującym. Odważna nad podziw. To wielka ludzka postać, skromnie pozostająca zawsze w cieniu. Spotkałem też wówczas, w latach 80. (i nie tylko), na swojej drodze wielu studentów, ludzi bardzo ciekawych, godnych szacunku, na swoje sposoby walczących z ustrojem. Regułą było, że chronili się oni na moim seminarium magisterskim, nawet jeśli nie każdy był miłośnikiem historii prawa. Jakoś tak się przyjęło, że jeśli któryś uprzednio za politykę „siedział”, to z reguły przychodził później na moje seminarium. Miło mi, że mieli do mnie zaufanie, przekonanie że ten docent Lityński pozwoli im spokojnie zrobić dyplom. Z jego strony nic nie grozi. Z niektórymi do dzisiaj utrzymuję kontakt. Niektórzy po 1990 roku poszli w politykę albo na urzędy; m.in. jeden z moich magistrantów (Wojciech Szarama, najbardziej ścigany przez bezpieczeństwo działacz Niezależnego Zrzeszenia Studentów) został szefem UOP-u województwa śląskiego. Kiedy byłem prorektorem (1992-1993), udałem się do niego służbowo dla omówienia zabezpieczenia pobytu i uroczystości nadania przez UŚ doktoratu honoris causa Hansowi Dietrichowi Genscherowi; siedzieliśmy w fotelach w gabinecie szefa UOP-u, niedawno ściganego przez SB mojego seminarzysty, i obaj pękaliśmy ze śmiechu z tej sytuacji.

Wiosną 1982 r. doszło do najprzyjemniejszego chyba w moim życiu zawodowym wydarzenia. Henryk Olszewski, wiedząc że w Katowicach moja sytuacja zawodowa stała się politycznie wielce niepewna, zaproponował mi przejście na WPiA UAM. Propozycja padła podczas dotyczącej historii parlamentaryzmu konferencji w Kórniku, bodajże w maju 1982 r. Henryk Olszewski dobrze wiedział i wręcz widział, w jak głębokim byłem stresie. Wyciągnięcie wówczas do mnie ręki było gestem pięknym i jednocześnie trochę odważnym; byli ludzie, którzy od takiego „zadżumionego” jak Lityński trzymali się z daleka. Wyraziłem zainteresowanie i Henryk Olszewski dalej pilotował tę sprawę, poprzez wizytę u dziekana, przez omówienie sprawy z pozostałymi poznańskimi historykami prawa dla uzyskania ich poparcia, wreszcie przez postawienie wniosku na Radzie Wydziału. Uzgodniliśmy też, że wstępnie będzie to wniosek o pół etatu, z obustronnym zamiarem

rozszerzenia do pełnego etatu od kolejnego roku akademickiego. Wszystko to trochę trwało, ale 7 grudnia 1982 r. Rada WPiA UAM wyraziła pozytywną opinię w sprawie mojego przejścia na tamtejszy Wydział. „Na posiedzeniu Rady wiele osób b. Pana chwaliło: Maisel (nie tylko *ex officio*), Lesiński (b. ciepło i bardzo mądrze), Rozwadowski (b. mocno) oraz niżej podpisany [...]” – pisał do mnie Henryk Olszewski 9 grudnia 1982 r., a więc niemal dokładnie w rocznicę wprowadzenia stanu wojennego. Zaś Profesor Witold Maisel telegrafował: „zgoda Rady Wydziału. Gratulacje. Maisel”, a na zachowanym blankiecie widnieje podłużna, czarna pieczęć „ocenzurowano” (warto pamiętać te czasy). W kilka dni później otrzymałem, datowany na 14 grudnia 1982 r., miły list urzędowy dziekana Sołtysińskiego, zawiadamiający o pozytywnym stanowisku Rady Wydziału i zapraszający do przyjazdu „w styczniu do Poznania w celu omówienia pozostałych warunków współpracy”. Nie jestem już dzisiaj pewien szczegółów, ale chyba Henryk Olszewski uprzedził mnie wcześniej i ja przybyłem do Poznania już tylko grzecznościowo dlatego, że byłem z Dziekanem umówiony. Razem z Henrykiem weszliśmy do gabinetu Dziekana, a ten – z ubolewaniem – wręcz wyrecytował mi z pamięci długi tekst, który z daleka bardzo mocno pachniał opinią bezpieczeństwa o mojej osobie. Jak z tekstu wynikało, w osobie mojej tkwiło ogromne niebezpieczeństwo dla ustroju socjalistycznego, którego jestem strasznym wrogiem. Nie byłoby to może zupełnie nieprawdziwe, ale było po stokroć przesadzone. Henryk Olszewski skomentował: „wychodzi na to, że pan jest drugą osobą po Wałęsie!” Zapamiętałem to, bo bardzo mi się ten żart spodobał i zaimponował mi. Ustrój mi się nie podobał, ale najdalszy byłem od donkiszoterii. Weto dla mojego przejścia postawił KU PZPR UAM, a ówczesna ustawa dawała mu taką skuteczną prawnie możliwość wetowania uchwał rad wydziałów. Wiem, kto spowodował owo weto KU PZPR, ale zostawmy to bez nazwiska tego nie żyjącego już profesora UAM. Tak skończył się mój piękny flirt z UAM. Jak powiedziałem, jest to moje chyba najpiękniejsze doświadczenie zawodowe. Z wdzięcznością zachowuję w pamięci opisane wydarzenia poznańskie, chęć przyjęcia mnie przez środowisko w tak trudnym okresie dziejów.

Z pierwszą odmową wydania paszportu spotkałem się jeszcze przed 13 grudnia 1981 r., a po formalnym zniesieniu stanu wojennego odmówiono mi m.in. paszportu na corocznie organizowaną międzynarodową konferencję do czeskiej Pragi. Zaniechałem później ubiegania się o wyjazdy jakiegokolwiek (też turystyczne), bo sam tryb starań, a tym bardziej odmowy SB odczuwałem jako poniżające. SB czuwała jednak na wszelkich obszarach. Jak już wspominałem, wiosną 1985 roku katowicka Rada Wydziału przeprowadziła postępowanie o nadanie mi tytułu naukowego profesora nadzwyczajnego. Pisemne opinie-recenzje Profesorów Juliusza Bardacha, Stanisława Grodziskiego i Witolda Maisla były szybkie (gotowe na początku maja 1985) i życzliwe.

Jednakże jako „elementowi antysocjalistycznemu i wrogo ustosunkowanemu do istniejącego ustroju” nadanie tytułu – pozytywnie zatwierdzonego przez wszystkie instancje naukowe – zostało mi do ostatnich dni komunistycznego ustroju politycznie wstrzymane¹³. W KU PZPR na UŚ nie ukrywano, że wprawdzie firmuje to PZPR, ale w istocie weto pochodzi od SB. Ostatecznie nadanie mi tytułu władza „puściła” wraz z kilkudziesięciu innymi tak wstrzymanymi, dokładnie w przeddzień otwarcia obrad „okrągłego stołu”, wręczanie nominacji miało miejsce chyba 6 lutego 1989 r. Nikt racjonalnie myślący nie przypuszczał wówczas, że był to łabędzi śpiew ustroju komunistycznego w Polsce, wszak pierwszy taki przypadek między Łabą a Władystokiem od listopada 1917 roku. Pamiętam, że tegoż dnia siedziałem w towarzystwie 8-10 koleżanek i kolegów z WPiA UW w uniwersyteckim klubie w Pałacu Kazimierzowskim; rozmowa toczyła się o wydarzeniach politycznych i w pewnym momencie zadano mi pytanie: „jak, Adam, uważasz, kiedy upadnie ustrój komunistyczny?” Ja oceniłem to na połowę XXI wieku i wszyscy, jednomyślnie, się z moją oceną zgodzili. Padł w kilka miesięcy później, co ogłosiła nam aktorka Joanna Szczepkowska po wyborach z 4 czerwca. Upadek komunizmu przyjmowałem z niedowierzaniem (mimo, że miałem zaszczyt być w tym okresie członkiem Śląsko-Dąbrowskiego Komitetu Obywatelskiego „S”). Kiedy uwierzyłem w to moje szczęście? Chyba dopiero po upadku tzw. puczu Janajewa w ZSRR w sierpniu 1991 roku. To moje kolejne szczęście w życiu. Miałem szczęście, którego nie dane było dożyć pokoleniu moich rodziców, urodzonych jeszcze w czasach zaborów.

Po 1989/90 zmieniło się sporo w moim życiu, ograniczę się tylko do spraw zawodowych. Otrzymałem więc (1989) długo oczekiwany tytuł naukowy i zupełnie niespodziewanie dla mnie Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, a wkrótce później (luty 1992) awans na stanowisko profesora zwyczajnego (w międzyczasie zniesiono poprzednio istniejące dwa tytuły profesorskie). Nowy rektor zaproponował mi kandydowanie na nieoczekiwanie opróżnione po roku od elekcji stanowisko prorektora do spraw nauczania; propozycję przyjąłem i zostałem przez Senat UŚ wybrany (1992) prorektorem. Do dzisiaj cenię sobie tę godność, wszak w uniwersyteckiej hierarchii bardzo wysoką; mam z niej dobre wspomnienia, chociaż zadania prorektora były bardzo obciążające. Zaczynał się wielki boom w zakresie kształcenia na poziomie wyższym, początek wielkiego natłoku studentów, a wraz z tym przekształcanie rozmaitych kierunków nauczania oraz samych przedmiotów zgodnie ze zmianami politycznymi (np. ekonomia, filozofia marksistowska, nauki polityczne), a także ze względów komercyjnych; liczne były zmiany i nowości będące efektem otwarcia na Zachód. To była duża robota dla pro-

¹³ Zob. *Nominacje profesorskie wstrzymane przez PZPR (1977-1987)*, „Arcana” Kraków 1998, nr 22 (4/1998).

rektora ds. nauczania. Nie miałem też ochoty na poświęcanie absolutnie całego czasu dla załatwiania cudzych spraw: wszak robota administracyjna dla nauczyciela i pracownika naukowego jest załatwianiem spraw cudzych. Po upływie kadencji, dotychczasowy rektor został wybrany na drugą i natychmiast zaproponował mi ponowne kandydowanie, a ja natychmiast odmówiłem. Bardzo mi ulżyło, że zdobyłem się na ten krok, na który wielu by się nie zdobyło, bo godności i władza to rodzaj narkotyku. Nigdy później nie miałem najmniejszych wahań, że dobrze uczyniłem. Więcej: postanowiłem, że już do emerytury będę z daleka omijał wszelkie funkcje i tak było; dochodziło do tego, że np. przestałem przychodzić na wydziałowe zebrania wybierające przedstawicieli Rady do Senatu, aby mnie nie zmuszano (jak to pierwszy raz było) do przyjęcia funkcji. Jedynym wyjątkiem być musiało – nie było wyjścia – kierownictwo Katedry; tu w zasadzie nie było alternatywy, zwłaszcza że Ciągwa na okrągłe 10 lat przeniósł się na pierwszy etat do Rzeszowa. Robota administracyjna w Katedrze mnie nie absorbowała, bo młodszych przyuczyłem i każdego wyspecjalizowałem w pewnym zakresie do wykonywania określonych grup zadań biurowatycznych, sobie zostawiając tylko sprawy naukowe. Analogicznie stało się wkrótce w Białymstoku.

Po odejściu z prorektorstwa zostałem odznaczony Medalem Komisji Edukacji Narodowej oraz Złotą Odznaką „Za zasługi dla Uniwersytetu Śląskiego”. Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski otrzymałem w styczniu 2013 r. z wystąpienia już mojego nowego, wówczas jeszcze drugiego, pracodawcy – Wyższej Szkoły Humanitas w Sosnowcu. Jako ciekawostkę chciałbym podać, że z własnej inicjatywy Zarząd Krajowy Związku Wypędzonych z Kresów Wschodnich R.P. (siedziba w Bytomiu) przyjął mnie (2011) do Związku i nadał mi status członka założyciela Związku od jego rejestracji w dniu 8 października 2003 r. Jednocześnie Dyrektoriat Światowego Kongresu Kresowian zaprosił mnie na Kongres, gdzie nadano mi wyróżnienie *Premium Honoris Cresovianae*.

Ośrodek historyczno-prawny w Katowicach (ostatecznie strukturalnie: Katedra Historii Prawa) zawsze był stosunkowo nieliczny, jeśli porównać go z dużymi uczelniami. Z podziwem, ale i pewnym zdziwieniem i zazdrością patrzyliśmy na inne wydziały prawa, gdzie historyków prawa było wielu. Wielu rozmaitego stopnia, ale gdy jest wielu, to w końcu też więcej dojdzie do stopnia i tytułu najwyższego. Na US-ii zawsze, od początku do chwili obecnej, nader rygorystycznie się pilnowało, by każdy miał niezawodnie pensum. Z kolei nie rozpieszczano historyków liczbą godzin w siatkach zajęć, więc stąd brała się skromna liczebność naszej grupy. Lepiej nie będzie, bo szczególnie teraz, w nowoczesnej Europie, po otwarciu na Zachód, w UE, historyków prawa prawnikom nie potrzeba, jak wielu uważa.

O zagadnieniach merytorycznych mojej drogi zawodowej znakomicie i wielce łaskawie mówił profesor Waław Uruszczak w laudacji¹⁴, którą był uprzejmy wygłosić pięć lat temu z okazji mojego 70-lecia. Między innymi zwracał uwagę na „różnorodność i rozległość podejmowanej tematyki badawczej”. Rzeczywiście, dość znaczny jest rozrzut merytoryczny moich obszarów badawczych: od XVII i XVIII-wiecznego parlamentaryzmu, poprzez prawo karne Rzeczypospolitej szlacheckiej, średniowieczne statuty chorwackie Dalmacji (to zawsze wspólnie z moją żoną Barbarą Czapik-Lityńską – profesorem kroatystyki), poprzez II Rzeczpospolitą, by zakończyć na prawie Polski Ludowej i Związku Radzieckiego. Chciałbym jednak stwierdzić, że moja naukowa miłość to epoka Oświecenia. Czasami sprzed ponad dwustu- dwustu pięćdziesięciu lat jestem stale zafascynowany, mimo że od 25 lat badań w tym przedmiocie nie prowadziłem. Widzę, że tam rodziła się – w obszarze prawa – nowoczesność, że najważniejsze korzenie podstawowych gałęzi prawa – konstytucyjnego, karnego, cywilnego – sięgają właśnie czasów, gdy ogłaszano Deklarację Praw Człowieka i Obywatela, konstytucję amerykańską i polską 3 maja, gdy utrwaliły się zasady niepisanej konstytucji angielskiej, gdy pojawiły się pierwsze kodeksy karne znoszące karę śmierci i wnoszące ideę resocjalizacji, gdy pojawił się kodeks cywilny Napoleona. Od około dwustu lat w istocie nie wymyśliliśmy, ani w prawie karnym, ani w prawie cywilnym żadnych wielkich nowości; tak wielkich, że zmieniałyby w ogóle nasz sposób patrzenia na określone zjawiska prawne. Wielkie problemy XX wieku – jak wszyscy świetnie wiemy – tkwią właśnie w tym, że pojawiły się systemy polityczno-prawne wręcz te zasady niweczające. Wiek XX to *spustoszone stulecie* (Robert Conquest), co dotyczy szczególnie naszej części Europy.

Po upadku systemu komunistycznego niezwłocznie zająłem się prawem nieistniejącej już Polski Ludowej, przede wszystkim prawem karnym oraz sądami karnym i prokuraturą Polski Ludowej. Nowością były zwłaszcza badania nad wojskowym prawem karnym oraz sądami wojskowymi Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR. Powołał się na nie później Sąd Najwyższy w precedensowym orzeczeniu z 2001 roku (WKN 13/01) o nieważności od samego początku kodeksu karnego PSZ z 1943 roku. W 1999 roku ukazała się w Białymstoku moja monografia *O prawie i sądach początków Polski Ludowej*. W rok później (2000) wspólnie z Marianem Kallasem napisaliśmy *Historię ustroju i prawa Polski Ludowej* (moja część dotyczyła historii prawa oraz organów wymiaru sprawiedliwości i ścigania). W 2005 roku ukazało się pierwsze wydanie mojego podręcznika-syntezy *Historia prawa Polski Ludowej*. W latach następnych ukazywały się kolejne wydania: w 2013 roku wydanie 5. Podsumowaniem prac nad prawem ZSRR jest dwukrotnie wydawany podręcznik

¹⁴ Tekst drukowany w: „Z dziejów prawa”, t. 4 (12), Katowice 2011, s. 371-376.

– synteza *Prawo Rosji i ZSRR 1917-1991 czyli historia wszechzwiązkowego komunistycznego prawa bolszewików. Krótki kurs*.

Potrzeba wzmiankowanego już „płodozmianu” wynikała nie tylko i chyba nawet nie głównie z wczesnych nauk Jana Baszkiewicza. Wynikała przede wszystkim z naukowej ciekawości, z dążenia do badania czegoś nowego, a nie stale tego samego obszaru. Proszę zauważyć, że zainteresowanie wysoko cenionym przeze mnie okresem Oświecenia jeszcze w końcu lat 80. zacząłem dzielić z badaniami nad prawem karnym XX wieku, a konkretnie II RP. Efektem była wydana w 1991 roku nieduża książka *Wydział Karny Komisji Kodyfikacyjnej II Rzeczypospolitej. Dzieje prac nad częścią ogólną kodeksu karnego*. Gdyby nie nowe możliwości naukowe (uczciwych publikacji) po upadku systemu komunistycznego, pewnie temat prawa karnego II RP byłbym kontynuował. A więc przejście do XX wieku było wywołane wewnętrzną potrzebą poznania nowego. Upadek systemu komunistycznego otworzył tu tylko ogromne możliwości. Nałożyły się na to potrzeby dydaktyczne: po 1990 roku studenci bardzo chętnie i masowo wybierali zajęcia przede wszystkim z Polski Ludowej i ZSRR. Stąd, jak to już wspominałem, dwie ostatnie moje książki to podręczniki: prawo Polski Ludowej i prawo ZSRR. Proszę zwrócić uwagę, że podręcznik wydany u Becka o prawie Rosji i ZSRR miał swoje dwa małe poprzedniki w postaci dwóch tekstów publikowanych specjalnie dla dydaktyki (w Tychach i w Białymstoku)¹⁵.

Na początku lat 90. byłem jeszcze nadal – od prawie 10 lat – radcą prawnym w różnych małych, prowincjonalnych przedsiębiorstwach państwowych. Zarobek był niewielki, ale do reformy gospodarczej Balcerowicza robota też była prawie żadna, bo w systemie komunistycznym nikomu na niczym w jednostkach gospodarki tzw. uspołecznionej nie zależało, a najmniej na pieniądzu: czy proces w sądzie wygrałem, czy przegrałem, to zupełnie nie było ważne; ważne, czy dyrektor miał odpowiednie „wejścia” na górze, w komisji, i czy załatwił tam „limity”. Ale od 1990 roku zmienił się także ustrój gospodarczy i po pierwsze lawinowo zmieniały się przepisy prawne, a wypadało za tym nadążać; po wtóre dyrektorom zaczęło bardzo zależeć na efektach gospodarczych pracy radcy prawnego. Tym bardziej więc należało na bieżąco łapać potok nowych regulacji prawnych. Łatwo było zdać sobie sprawę, że stoję przed alternatywą: albo będę poprawnym radcą prawnym, albo pracownikiem naukowym; mając tak nie przystający do realiów zawód historyka prawa, pogodzić tego nie mogłem. Odszedłem (1995) z ostatniego mojego radcostwa i na tym ten rozdział zawodowy (zawsze traktowany trzeciorzędnie,

¹⁵ *Prawo Rosji i ZSRR (1917-1991). Szkic na potrzeby dydaktyki*, „Miscellanea Iuridica”, t. 5, Śląskie Wydawnictwa Naukowe, Tychy 2004, s. 137-156; *Historia prawa radzieckiego 1917-1991. Krótki kurs*. „Miscellanea Historico-Iuridica”, t. 3, Białystok 2005, s. 139-177.

tylko jako sposób dorobienia do pensji akademickiej) zakończyłem. Równolegle wszędzie rosła liczba studentów i zapotrzebowanie na nauczycieli akademickich, a zwłaszcza na ludzi ze stopniami i tytułami naukowymi.

Z inicjatywy Eugeniusza Zwierzchowskiego (profesor prawa konstytucyjnego na WPIA UŚ, który od jakiegoś czasu pracował na drugim etacie w Filii UW w Białymstoku) na przełomie 1994/1995 roku, nawiązałem kontakt z białostocką Filią UW, a tamtejszy Dziekan Oddziału Wydziału Prawa UW – profesor Adam Jamróz (później sędzieja Trybunału Konstytucyjnego) był uprzejmy odwiedzić mnie w moim mieszkaniu w Katowicach i tak się zaczął mój niespodziewanie długi związek z Białymstokiem. Zaczynałem w przekonaniu, że jadę na niezbyt długi okres do Filii UW jako pracownik najemny i po mojej stronie była po prostu chęć uczciwego zarobienia pieniędzy. Z biegiem czasu okazało się, że jest/dzieje się inaczej: szybko stałem się tam cenionym profesorem. Nieskromnie powiem, że profesorem, którego tam ceniono w stopniu, na jaki chyba nigdy nie zasłużyłem. Do dzisiaj nie wiem, za co miałem tam tak dobrą opinię; ja tylko wykonywałem należycie to, czego ode mnie oczekiwano. A dodam z całym naciskiem, że zawsze – przez całe 15 lat tam mojej pracy – władze Wydziału i wszyscy pracownicy nadzwyczajnie szli na rękę dojeżdżającemu z daleka profesorowi, aby mógł pogodzić zadania z uciążliwym dojazdem (przy okazji: dawniej koleje lepiej jeździły!). Za to ja im jestem wdzięczny i bez tej stałej życzliwości wieloletnie peregrynacje nie byłyby realne. Szczególnie dobrze wspominam moje kontakty ze Stanisławem Prutisem, profesorem prawa cywilnego, wcześniej działaczem solidarnościowym, internowanym 13 grudnia 1981 r., potem wojewodą podlaskim, wreszcie dziekanem najpierw w Filii UW, a następnie dziekanem WP UwB; później urząd dziekański spoczął w rękach nie mniej sympatycznego Leonarda Etela profesora, obecnego Rektora UwB. Kiedy po raz pierwszy stanąłem w budynku zajmowanym przez prawo Filii UW, kierownikiem Zakładu Historii Państwa i Prawa była profesor Maria Szyszkowska, wybitny filozof prawa, osoba o wszechstronnych zainteresowaniach i wysokich walorach, ale nie jest Ona historykiem prawa. Współpraca układała się generalnie dobrze. Profesor Szyszkowska odeszła z Białegostoku w kilka lat później (wygrała wybory do Senatu RP); miłe kontakty zostały. W rzeczywistości środowisko historyczno-prawne, nawet skromne, w Białymstoku nie istniało. Najstarszym wiekiem i stopniem był dr Antoni Bobrus, któremu wiele zawdzięczam w zaaklimatyzowaniu się w Białymstoku. Był jeszcze drugi doktor, historyk ogólny, człowiek nadal bardzo silnie emocjonalnie związany z upadłym już systemem komunistycznym, tak dalece, że w istocie żadna rozmowa z nim nie była możliwa; ponoć były długoletni działacz PZPR na uczelni. Wszyscy też chcieli się go pozbyć, co wkrótce nastąpiło. Starłem się, jak mogłem ukierunkować Antoniego Bobrusa na habilitację z historii prawa i popchnąć Go w tym kierunku; rokowało dobrze. Mogę chyba powiedzieć, że zaprzyjaź-

niliśmy się przy tej okazji; często zapraszał mnie do domu; podziwiałem, ile wysiłku i staranności wkładają wraz z małżonką Ireną w wychowanie dwóch znakomitych córek. I wtedy zdarzyła się tragedia: Antoni doznał niespodziewanie wylewu krwi do mózgu. Mimo dobrej opieki lekarskiej, trepanacji czaszki, zmarł wkrótce. To była duża strata. Zostałem z dwoma magistrami: Piotrem Fiedorczykiem i Mariuszem Mohylukiem. Później, z mojej rekomendacji, przyjęto na etat asystencki mojego białostockiego seminarzystę – Marcina Łysko. Bardzo energiczny magister Piotr Fiedorczyk w pewnym sensie zajął przy mnie miejsce Zmarłego, stał się moim pomocnikiem, moją prawą ręką i to moją ręką na odległość. Ambitny, robił też najszybsze postępy naukowe, by obronić doktorat w 1999 roku. Był to pierwszy doktorat historyczno-prawny obroniony na tym Wydziale. Praca doktorska o Komisji Specjalnej do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym została wkrótce wydana drukiem i stanowi do dzisiaj zdecydowanie najlepsze opracowanie tematu, mimo że wątek był później podejmowany przez kilku badaczy. Po przedwczesnej śmierci dr. Antoniego Bobrusa, okresowo, przez cztery lata (1998-1992), wspierał mnie dojeżdżając z Katowic, zatrudniony w Białymstoku na drugim etacie docent Marian Mikołajczyk. Marian, przy częściowej mojej pomocy, zaprogramował i zrealizował reformę zasad przyjmowania na dzienne studia prawnicze; włożył w to dużo pracy. Kiedy Marian zaczął dojeżdżać, ja wówczas wzięłem roczny bezpłatny urlop, by trochę odpocząć i trwale przekazałem Marianowi opiekę nad dwoma innymi doktorantami – Mariuszem Mohylukiem i Marcinem Łysko. Mohyluk i Łysko zrobili doktoraty z promotorstwa Mikołajczyka, zaś słabo zorientowani niesłusznie niekiedy uważają, że wszyscy historycy prawa w UwB są moimi uczniami. Obie prace doktorskie udało się wydać drukiem w formie książek. Obaj doktorzy pracują nadal w Białymstoku i powinni zrobić habilitacje; tematy przyszłych rozpraw habilitacyjnych ustaliliśmy w toku naukowych dyskusji na zebraniach Zakładu. Zebrania takie organizowałem co najmniej raz w miesiącu, niekiedy częściej. Z własnej woli przychodzili na nie także asystenci z Zakładu Prawa Rzymskiego: mgr, potem doktor (dzisiaj prof. zw. dr hab. prof. UwB) Piotr Niczyporuk, mgr (dzisiaj dr) Piotr Kołodko, jak też dr Ireneusz Grat i dr Karol Kuźmich, ci dwaj ostatni po doktoratach z filozofii prawa u pani profesor Marii Szyszkowskiej. Profesor Szyszkowska trwale sprawowała nad nimi opiekę naukową, ale brali oni pełny udział w życiu naukowym historyków prawa. Kilka lat przed moim odejściem na emeryturę, na seminarium magisterskim w Białymstoku pojawiła się zdolna i pilna absolwentka historii, wkrótce także prawa, Diana Maksimiuk; udało się ją przyjąć na skromne stypendium doktorskie pod moją opieką naukową, z jasnym i wyraźnym postawieniem sprawy, że jej promotorem będzie dr Piotr Fiedorczyk, który oczywiście (!) w najbliższym czasie zrobi habilitację. Stało się później inaczej: Fiedorczyk jeszcze bardzo długo niepotrzebnie przeciągał habilitację, zaś Diana Maksimiuk zrobiła (obrona 2012) znakomity doktorat;

recenzująca pracę profesor Dorota Malec powiedziała, że to najlepszy doktorat, z jakim przyszło Jej się zetknąć. Odszedłem już wówczas z Białegostoku i mimo starań nie udało mi się doprowadzić do zatrudnienia tej zdolnej i pilnej osoby. Na szczęście dla Niej, znalazła pracę w IPN i udało się w IPN nadać bieg (bardzo powolny) sprawie wydania drukiem jej pracy doktorskiej. Wszystko jeszcze trwa, a szkoda, że tak długo. Zachęcałem do publikowania w CPH i czuwałem nad stroną naukową tego. Zaczęły się, w miarę często, ukazywać pierwsze teksty białostockie w CPH, które wszak zawsze nobilitowało młodych historyków prawa.

Na Wydziale Prawa UwB, bez kłopotu (tam wszystko można było załatwić bez kłopotu), założyłem naukowe czasopismo historyczno-prawne „Miscellanea Historico-Iuridica” (pierwszy tom w 2003 r.), a motorem napędzającym to przedsięwzięcie z biegiem lat coraz wyraźniej stawał się zawsze energiczny Piotr Fiedorczyk, który faktycznie już wcześniej, a formalnie od 1 stycznia 2014 roku przejął kierowanie redakcją. Umie dbać o czasopismo i zabiegać o uzyskanie należytej punktacji, od lat stosunkowo wysokiej. Było to zresztą w ogóle pierwsze czasopismo punktowane Wydziału Prawa UwB. Również bez problemów Wydział wyasygnował sporą kwotę i zorganizowaliśmy (2002) zjazd katedr historyczno-prawnych, pod hasłem *Wielokulturowość polskiego pogranicza*. W zjeździe wzięła udział ówczesnie rekordowa liczba 160 osób, nie tylko z kraju, ale także z zagranicy. Materiały zostały wydane w ładnej edytorsko księdze. Zjazd ewidentnie przybliżył białostockich historyków prawa innym ośrodkom w Polsce. Znamienne, że w niektórych instytucjach naukowych albo mających jakiś styk z nauką i nauczaniem w Polsce byłem kojarzony wyłącznie z Uniwersytetem w Białymstoku.

W 1999 roku Wydział UwB bez wahania wydał moją książkę *O prawie i sądach początków Polski Ludowej*. Miło mi było, gdy poproszono mnie o recenzję habilitacyjną z zakresu prawa karnego, z monografii o wyraźnych elementach historyczno-prawnych Mirosławy Melezini: *Punitivność wymiaru sprawiedliwości karnej w Polsce w XX wieku* (Wyd. Temida 2, Białystok 2003), praca ta uzyskała w 2004 r. pierwszą nagrodę w konkursie „Państwa i Prawa” na najlepsze prace habilitacyjne.

W Białymstoku – w Uniwersytecie, w mieście i przepięknym krajobrazie Podlasia, a nader wszystko w tamtejszych ludziach, zakochałem się. Ludzie tam są wyjątkowo mili, wszędzie; nie tylko na Uniwersytecie, lecz także na ulicy; okolica piękna, życie spokojniejsze niż na przemysłowym Śląsku. Przez 15 lat życie moje ściśle związane było z Białymstokiem. W pewnym sensie mogę powiedzieć, że to były najpiękniejsze lata mojej pracy zawodowej. Jaka szkoda, że – parafrazując Grocjusza – *nawet wszechmocny Bóg nie może sprawić, by między Katowicami a Białymstokiem nie było aż 500 kilometrów*. Wzajemne związki emocjonalne między białostockim Wydziałem Prawa a mną były jednak bardzo silne. Pewnym zewnętrznym przejawem może

być fakt, że piękna i ogromna księga jubileuszowa na 70-lecie moich urodzin przygotowana i drukowana była przez Wydawnictwo UwB. Gdy w końcu odchodziłem, nie omieszkało sympatycznie mnie pożegnać.

Uniwersytet w Białymstoku, z inicjatywy Rady Wydziału Prawa, uczynił mi wielki zaszczyt, obdarzając mnie medalem „Zasłużonego dla Uniwersytetu”. Nie wydaje mi się, abym na to wyróżnienie zasłużył. Wielce cenię nadanego mi przez białostockich studentów „Oskara” za wykłady. Jedno i drugie do ostatniego dnia mojej pracy na Uniwersytecie Śląskim stało na honorowym miejscu w moim służbowym pokoju w Katowicach. Nieskromnie powiem, że białostocki ośrodek historyczno-prawny przez ostatnie lata stał się widoczny w Polsce, w czym nie mała zasługa Mariana Mikołajczyka. Natomiast bolesną porażką moją jest, iż odchodziłem nie zostawiając doktora habilitowanego, chociaż Piotr Fiedorczyk był już wówczas do tego dojrzały. Nie potrafiłem jednak na Nim wymusić realizacji habilitacji, ani wówczas, gdy byłem jeszcze zatrudniony w Białymstoku, ani później, gdy utrzymywaliśmy i utrzymujemy nadal ściśle kontakty. Jesienią 2014 roku habilitacja Piotra znalazła się w rękach recenzentów, a ogromnej objętością i treścią książki oraz równie wielkiego innego dorobku wystarczyłoby na dwie habilitacje. Całe postępowanie – *summa cum laude* – zakończyło się wiosną 2015 roku.

Nie mogę nie wspomnieć o jeszcze jednej szkole wyższej, w której z przyjemnością pracowałem. To Wyższa Szkoła Zarządzania i Nauk Społecznych w Tychach, miście położonym w bezpośrednim sąsiedztwie Katowic. W pewnym momencie (2001) uruchamiano tam studia licencjackie z administracji. Wprowadził mnie tam mój młodszy Kolega z katowickiej Katedry Historii Prawa dr Andrzej Drogoń, stały mieszkaniec Tychów i tamtejszy działacz społeczny, okresowo prorektor tej Uczelni, później długoletni dyrektor katowickiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej. Ja zaś zbierałem się już do odejścia z Białegostoku, bo lat mi przybywało, a kolej żelazna w Polsce działała coraz gorzej. W zasadzie taka szkoła z licencjatem nastawiona jest jedynie na nauczanie studentów, ale ta na początku miała także pewne ambicje naukowe; wydano tam pewne moje większe teksty, udało mi się tam także założyć czasopismo naukowe. Zrobiono mi tam bardzo miłe, z absolutnym dla mnie zaskoczeniem do samego końca, uroczystości jubileuszowe 65-lecia. Uhonorowano (2011) najwyższym Szkoły odznaczeniem – statuetką *Sapere aude*. Kiedy w końcu odchodziłem (2014) ze Szkoły, nie zapomniano o sympatycznym pożegnaniu. Wszystko jednak co dobre z biegiem czasu zaczęło się kończyć i się skończyło, gdyż stale spadał nabór studentów, a więc wszelkie możliwości finansowe. W końcu pracowaliśmy na niewielkiej liczbie godzin za niewielkie pieniądze. Przyszedł nam z pomocą Jurek Malec, pan rektor profesor Jerzy Malec, rektor Krakowskiej Akademii im. A.F. Modrzewskiego, do którego wykonałem pierwszy w tej sprawie telefon. KA przejęła Szkołę

tyską jako swój Wydział Zamiejscowy. Ja wkrótce (2014) poprosiłem o zwolnienie z powodu podeszłego wieku i dalszego dojazdu; w międzyczasie bowiem przeprowadziłem się z Katowic do Ustronia na Śląsku Cieszyńskim. Z okna pokoju widzę Czechy.

Z Uniwersytetu na emeryturę odszedłem ostatecznie i w pełni 30 września 2013 r.; od tego momentu jestem wyłącznie profesorem Wyższej Szkoły Humanitas w Sosnowcu, gdzie prowadzony jest m.in. kierunek *prawo*. Pracuję tam w niewielkim wymiarze godzin i absolutnie bez jakichkolwiek obciążeń administracyjnych, jak na emeryta przystało.

Możliwości dodatkowych zarobków, jakie po transformacji ustrojowej otworzyły się przed pracownikami naukowo-dydaktycznymi, z wykształcenia prawnikami, były i są zjawiskiem bardzo cennym i atrakcyjnym. Mają jednak oczywiście złą stronę dla tzw. niesamodzielných pracowników naukowych, zwłaszcza w tak nie przystającej do praktyki dyscyplinie, jak historia prawa. Zaabsorbowanie dodatkowymi zarobkami poza szkołą wyższą, np. w kancelariach prawniczych, na stanowiskach sędziowskich i innych, nie może nie spowolniać pracy naukowej, a w konsekwencji habilitacji. W skrajnych przypadkach dochodziło w ogóle do odejścia z pracy na Uniwersytecie i przejścia do lepiej płatnego zawodu w praktyce prawniczej. Wszystkiego tego doświadczyliśmy w Katowicach. Dla historyków prawa jest to pewna bieda wynikająca z bogactwa ostatniego ćwierćwiecza. To bolesne zjawisko.

Pod koniec mojej pracy na Uniwersytecie Śląskim, w maju lub czerwcu 2007 r., Senat Uniwersytetu Śląskiego powołał Komisję Historyczną UŚ, zaś ówczesny Rektor profesor Janusz Janeczek zatelefonował z prośbą o wejście w jej skład. Na pierwszym zebraniu, z osobistym udziałem Rektora, stało się jasne, że pod niewinną nazwą komisji historycznej ma się kryć badanie inwigilacji Uniwersytetu przez Służbę Bezpieczeństwa, bez ograniczenia w czasie (mieliśmy później zdarzenia nawet z lat 40.), ze wszystkimi tego skutkami osobowymi. Na tymże zebraniu z aktywnym udziałem Rektora przez akklamację zostałem przymuszony do podjęcia się funkcji kierowania Komisją, co przyjąłem z niechęcią. Robota ta mnie stresowała; jak trafnie przypuszczałem, od początku wywoływała w środowisku skrajnie rozbieżne komentarze, na WPiA nawet skromne i spokojne, natomiast na niektórych innych wydziałach bywało nieprzyjemnie. Początek był tym trudniejszy, że nie było wzorców proceduralnych¹⁶. Najpierw trzeba było prześwietlić postawę samych członków Komisji w latach komunistycznych i tu już pojawiła się niespodzianka, bo z tego zaledwie kilkuosobowego grona trzeba było wykluczyć jednego z powołanych przez Senat. Całość zajmowała mi stale większą część moich myśli, toteż po pewnym czasie wymusiłem moje ustąpienie przynaj-

¹⁶ Profesor Stanisław Salmonowicz w „*Życie jak osioł ucieka...*”. *Wspomnienia* (Bydgoszcz-Gdańsk 2014, s. 407) pamięta, iż zwróciłem się do Niego z prośbą o informacje i rady, ponieważ w UMK pod Jego egidą komisja taka działała już od dwóch lat.

mniej z funkcji kierowania Komisją (co przejął i bardzo zgrabnie poprowadził profesor Marek Zrałek, fizyk, wcześniej znany opozycjonista), ale z dalszego udziału w jej pracach usunąć się nie wypadało. Komisja nie działała kadencyjnie i kontynuowała swoje prace za kadencji następnego Rektora profesora Wiesława Banysia i zakończyła prace dopiero po wyczerpaniu wszystkich materiałów archiwalnych IPN. Bezcenny był w niej udział (przeze mnie wnioskowany Rektorowi) mojego młodszego kolegi z Katedry Historii Prawa – dr. Andrzeja Drogonia, ówczesnie Dyrektora Oddziału IPN w Katowicach, dzięki czemu nigdy nie było zwłoki lub innych kłopotów w toku pozyskiwania akt. W sumie Komisja pracowała ponad cztery lata, sukcesywnie przedkładając swoje wnioski Rektorowi oraz publikując raporty w miesięczniku „Gazeta Uniwersytecka UŚ”. Każdy może je tam przeczytać.

Wreszcie chciałbym nieco o naszych studentach. Tu będzie nawet więcej optymizmu i jasnych stron. Inaczej aniżeli wielu ludzi starych uważam, że studenci są lepsi niż dawniej, a nawet są chyba coraz lepsi. Stacjonarni coraz lepiej przychodzą przygotowani ze szkoły i jest to przygotowanie na ogół wszechstronne. Niestety, nie można tego powiedzieć o pewnej części studentów zaocznych, przyjmowanych wszak bez żadnej selekcji wstępnej. W każdym razie obok samej wiedzy wynoszonej ze szkół, albo też i z innych źródeł (lektury, telewizja, internet) młodzi ludzie mają dobre umiejętności poruszania się w dzisiejszym świecie, wykorzystywania elektroniki, wiedzy technicznej. W zasadzie studenci chętnie chłoną wiedzę historyczno-prawną, dobrze odbierają nasze przedmioty, przychodzą na wykłady i inne zajęcia. W Katowicach uruchamialiśmy sporo zajęć fakultatywnych, które cieszą się powodzeniem, a szczególnie dotyczy to zajęć fakultatywnych z najnowszych dziejów prawa, z XX wieku, prawa Polski Ludowej i Związku Radzieckiego. To właśnie w wyniku prowadzenia tych zajęć powstały moje podręczniki do historii prawa Polski Ludowej oraz prawa Rosji i ZSRR. Gdzieś na samym początku wprowadzenia takich przedmiotów fakultatywnych, na mój wykład z prawa ZSRR zapisało się jednorazowo 320 studentów i równocześnie ponad 200 na prawo Polski Ludowej 1944-1956; łącznie ponad 500 studentów dziennych. Byłem jedynym nauczycielem na całym Uniwersytecie Śląskim, dla zajęć którego przewidziano od tego momentu górny limit zapisów (najpierw na 70 osób, potem na 50). Nieskromnie powiem, że studenci lubili słuchać moich wykładów, przy czym odnosi się to czasów już mojego zaawansowania naukowo-dydaktycznego; wiem że gdy zaczynałem wykładać – jako młody doktor – to wykładałem po prostu źle; wprawa przyszła z czasem. Z przykrością muszę stwierdzić, że duży popyt na moje zajęcia fakultatywne (poza seminariami magisterskimi, o czym za chwilę osobno) wcale się na Wydziale nie podobał, przeciwnie: bywali ludzie, na zajęcia których zgłaszało się zbyt mało studentów, by w ogóle dany wykład uruchomić. Tłumy ubiegające się

o zapisanie do Lityńskiego były nie w smak wielu, nawet chyba bardzo wielu. Nie dziwię się, rozumiem to. Ja zaś z biegiem lat znajdowałem coraz większy sens i coraz większą satysfakcję właśnie w pracy nauczycielskiej, w zajęciach ze studentami. Pewnie też dlatego, iż widziałem z ich strony i zainteresowanie, i dobry odbiór, i w ogóle dobry kontakt. Jak już podkreślałem, dwie ostatnie książki, jakie w życiu napisałem, to właśnie podręczniki. Studenci odpłacali zresztą swoją przychylnością i swoją oceną. Muszę się pochwalić, że gdy w roku akademickim 2007/8 samorząd Uniwersytetu Śląskiego po raz pierwszy uruchomił ogólnouniwersytecki studencki plebiscyt na *Przyjaciela studentów*, to ja zdobyłem ten laur i to znaczną przewagą nad następnym uniwersyteckim kandydatem, postacią wybitną zresztą. Jak już poprzednio wspominałem, w 2008 r. studenci białostoccy uhonorowali moje wykłady statuetką studenckiego *Oskara*; to również się stało w pierwszej edycji tego konkursu. W roku następnym zaś (2009) w ogólnopolskim e-rankingu (głosowało 37 tysięcy studentów) magazynu „?Dlaczego?” zająłem 11 miejsce, w tym trzecie w grupie tzw. samodzielnych pracowników¹⁷. Honorowy dyplom rektorski za najlepsze wykłady oraz postawę prostudencką uzyskałem także u mojego nowego pracodawcy, w niepublicznej Wyższej Szkole Humanitas w Sosnowcu, gdzie obecnie pracuję. Bardzo sobie cenię ten dobry odbiór ze strony studentów, ale byłbym naiwny, gdybym sobie nie zdawał sprawy, że na WPiA UŚ kłuł on niektórych w oczy. Od dawna nie było natomiast łatwo o seminarzystów, magistrantów. Tłumaczyliśmy to sobie faktem, że seminarium i temat (tytuł) pracy magisterskiej zostawia wyraźny ślad w życiorysie studenckim, w jego aktach, w indeksie w końcu. Przy poprzednim systemie (nie mam wiedzy, jak jest obecnie) naboru na wszelkie aplikacje, w toku przyjmowania bardzo wyraźnie zwracano uwagę, jaką pracę magisterską kandydat na aplikanta pisał, z jakiego przedmiotu. Często wręcz głośno o to kandydatów pytano, wywołując uzasadniony niepokój, jeśli było to niepraktyczne seminarium historyczne. Próbowaliśmy, przy okazji, prosić, by takich indagacji nie czyniono, ale zjawisko miało zbyt duże rozmiary, by dało mu się zapobiec.

Kiedyś redaktor studenckiej gazety wydziałowej pytał mnie: jak się zyskuje uznanie studentów? Odpowiem to samo, co wówczas: nie ma jednej rady, mnóstwo szczegółów składa się na to, że studenci lubią słuchać człowieka. Najbardziej uchwytną sprawą, którą zauważyłem, jest własny dystans do tego, co mówię i o czym mówię (tu wzorcem moim jest Stanisław Grodziski). Nie należy wykładanych treści ze śmiertelną powagą traktować jako najważniejszej sprawy na świecie. Jeśli temat pozwala (a historia daje duże możliwości), to warto wypowiedzi obdarzać pewną nutką ironii, dystansu. To jedyne, co umiem zdefiniować. To co do treści. Kiedyś na pierwszych zajęciach proseminaryjnych zapytałem studentów, czego oczekują od tych zajęć

¹⁷ „?Dlaczego?”. Magazyn studencki, nr 3 (107) marzec 2009, s. 43.

(na które się dobrowolnie zapisali), może jakieś tematy ich specjalnie interesują. Zapadła cisza, więc wskazanego palcem studenta zapytałem, po co przyszedł na te zajęcia, a on odpowiedział: „bo ja lubię pana słuchać”. Sprawilo mi to dużą przyjemność. Studenta nie wolno lekceważyć, np. przez spóźnianie się, nieprzygotowanie materiałów źródłowych i inne. Żartowałem, że student powinien regulować zegarek według wejścia wykładowcy do sali. To o tyle jest nieprawdziwe, że ja przychodzę do sali kilka minut przed wyznaczonym momentem rozpoczęcia zajęć, aby rozpocząć z dokładnością mierzoną sekundami. Natomiast życzliwości dla studenta w ogóle zdefiniować nie potrafię.

Smutnym zjawiskiem było (i nadal jest) ograniczanie w siatkach liczby godzin dla zajęć historyczno-prawnych wszelkiego rodzaju. Drastyczne wydarzenia miały miejsce na US-ii w czerwcu 2013 roku. Przewodnią myśl wyczytać można było następującą: historia prawa jest nie tylko zbędna, ale wręcz szkodliwa, ponieważ zabiera godziny innym, ważniejszym, praktycznym przedmiotom. Marian Mikołajczyk powiedział do mnie: „zazdroszczę Ci, że jesteś już na emeryturze!”. Jestem więc na emeryturze.

Jeśli ktoś lubi pracę naukową i dydaktyczną, jak ja, i pracuje w miłym zespole, to ma to szczęście, że taka praca zawodowa bardzo ściśle splota się z życiem osobistym, prywatnym. W moim przypadku tym mocniej, że moja żona jest również profesorem na Uniwersytecie Śląskim, stale mnie wspiera i wiele się od Niej uczę. Tak praca na uczelni stała się integralną częścią mojego życia. Ale teraz to już koniec.

Stałem u kresu życia; nie ma się co oszukiwać. Czym się na co dzień zajmuję? Mam nowe hobby: nowym obszarem moich zainteresowań jest Kosmos, Wszechświat. Z tej perspektywy patrząc, cała planeta Ziemia to mniej niż ziarnko piasku na Saharze. Postępy naszej wiedzy na ten temat są w ostatnich latach niewyobrażalnie duże. To są sprawy, które mnie fascynują. Z tej perspektywy patrzę też na dokonania mojego życia. Działkę na cmentarzu mam już od dawna, ale na razie podam mój aktualny adres: Kosmos, galaktyka Droga Mleczna, Układ Słoneczny, trzecia planeta od Słońca, nazywa się Ziemia; dalej łatwo trafić.

Adam Lityński